



EX - LIBRIS



**ANTONIEGO
—BROSZA—**

**DAR
ANTONIEGO
BROSZA**

WARTA

ATBAY

WŁADYSŁAW ORKAN

W A R T A

(STUDJA — LISTY — SZKICE)

Antoni Brogi



Warszawa 23 czerwca 1911 r.

LWÓW — WARSZAWA — KRAKÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NAR. IMIENIA OSSOLIŃSKICH

Z PODHALA

I.

WERBUNEK NA PODHALU

Zrozumiałem jest, iż przy charakterze ukraińskim ludu góralskiego często dla potrzeb postronnych i swoich odbywał się werbunek na Podhalu. Przeprowadzany był w różnych czasach różnymi sposobami, zależnie od sprawy, dla jakiej był podejmowany i od stosunku do niej narodu podhalańskiego. — Mówią nam o tem akta grodzkie, sądeckie jak i krakowskie, jako też przechowane w pamięci pokoleń śpiewki, w których się może najwierniej ów stosunek uczuciowy streszcza.

Za czasów dawnych polskich, jak wiadomo, wybierano w królewskich poddanych do znanej nam „piechoty łanowej“, z czego powstawały obok sołtystw t. zw. „wybraniectwa“, które z mocy nakazu Zygmunta III z r. 1590 miały zapewnić pewnej części włościan, owym „wybrańcom“ służącym w potrzebach, prawo dziedzictwa. Inna rzecz, że starostowie rabowali im to prawo, a w dalszym postępie czasu unicestwili je zgoła.

Nowotarskie państwo, które, wyjąwszy parę dominjów prywatnych, było królewszczyzną, więcej stosunkowo, niż inne, dawało piechoty z łąnu. Spora liczba „wybraniectw“ w początkach wieku XVII na Podhalu świadczy, że lud ten umiał swój przywilej cenić, a wzmianki i pochwały świadków, oddawane piechocie łąnowej, jak stawała pod Smoleńskiem, Chocimem i w innych potrzebach, dowodzą nam, że nie podlejsze było to rycerstwo chłopskie od świetnych pańskich chorągwi.

Rok 1629 rozpoczyna okres buntów na Podhalu, który trwa z nierówną siłą, to wybuchając płomieniem groźnym, to przygasając, przez kilka lat dziesiątków. Wiadomo: czas to był najcięższych może dla narodu chłopskiego terminów, gdy dość wąskie przywileje, prawa i osłony chłopów, nadane im za dawniejszych królów, straciły całkiem moc pieczęci swoich, a o wszystkim stanowiły wola i swawola panów. Król był daleko, starosta na miejscu. Słani ze skargami do Warszawy chłopscy deputaci otrzymywali w kancelarji królewskiej przyrzeczenie obrony i potwierdzenie praw i przywilejów, a w drodze powrotnej chwytni byli mimo giejtów bezpieczeństwa przez pachółków starościńskich, nierzadko batożeni i wrzucani do ciemnic.

W nowotarskiem państwie, w królewszczyźnie, nie było wprawdzie tak okrutnego docisku bezprawia, jak w starostwach prywatnych, niemniej jednak rozmiłowani w swobodzie górale, dużo czulsi, niż chłopci nizinni, na wszelki ugniot zewnętrzny, dotkliwie odczuwali to przycieśnienie jarzma na swych karkach i burzyli się przeciw ręce, która ów ucisk sprawiała*). Doświadczywszy wie-

*) „Kostka Napierski“.

lekroć, że król nic nie może, że słani przezeń komisarze nie mają wobec potęgi starosty żadnej egzekutywy dla zabezpieczenia wagi swym wyrokom, jeśli się opierać wkońcu — dotkliwie nauczeni bezprawiem — na swej sile.

Tworzenie zaś tej siły doraźnej, obronnej lub egzekutywnej, tworzenie jej pod bokiem władz, wymagało zrozumiale osobliwych form werbunku. Posyłany okółką po dziedzinach umówiony „znak“ okrężny z podawanem na ucho miejscem zboru oznajmiał poruszenie pospolite dla jakiejś zamierzonej akcji, a zaś w nagłych wypadkach (napaści starościńskich sług lub t. p.) ognie, palone na wierchach, skrzykiwały naród ku obronie.

Zazwyczaj hasło zwołania wychodziło od osobistości, zażywających największej powagi między ludem. I tak — czytamy w aktach grodzkich z r. 1630 — sołtysi w nowotarskiem państwie: Piotr Czerwiński z Klikuszowej, Stanisław zwany Marszałkiem, Klemens Mientus czarnodunajecki, Józef i Joachim Odrowąscy, Mikołaj Szatanik i Grzegorz Dzielski z Działu nakazali pospolite ruszenie na Podhalu przeciw Komorowskiemu, staroście, na którego już poprzód 53 wsi starostwa nowotarskiego wniosło do kancelarji królewskiej jedno-brzmiące skargi: o odbieranie przywilejów, wymaganie nad prawo robocizn, wybieranie bezprawne opłat i zesyków i o inne rozliczne zdzierstwa.

Wiek XVII był, jak wiemy, wiekiem nieustannych wojen. Dawne formacje wojska, złożonego z pocztów pańskich i ochotnego rycerstwa, już w tym wieku nie wystarczały. Czas zawichrzony wymagał stałego wojska, które formowano przez zaciągi. Przeniesiony z Niemiec, wytwór długoletnich wojen, zwyczaj właściwego z całym

dotyczącym aparatem werbowania, znajdował na ziemiach polskich wobec potrzeb zachodzących coraz szersze zastosowanie. — I na Podhalu zjawiali się coraz częściej różni mający prawo zaciągów pułkownicy, werbując owym zwyczajem górali. A że chodziło przy werbunku o jednostki awanturnicze, junackie — od tych zaś dudniła aże ziemia na Podhalu — można uwierzyć snadnie, iż werbowali stąd zastępy liczne.

W tym charakterze zjawia się na Podhalu w roku 1651 „pułkownik“ Kostka Napierski, z listami przypowiedniemi na zaciąg górali dla obrony granic województwa przeciw spodziewanemu najściu Rakoczego. Tu, trafiwszy na niezgasłe zgorzeliska buntu, łatwo roznieca je w płomień. Zwerbowani przezeń i szubienicy odjęci dwaj głośni zbójniccy hersztowie skrzykują mu roztracone po górach drużyny, a zaś przewódcy niedawnej chłopskiej rebelji, zgwarzywszy się z nim, poruszają pospolity naród. Pożar buntu przelewa się poza granice Podhala. Kostka, zajmwszy zamek pograniczny, Czorsztyń, wydaje do chłopów województwa płomienne uniwersały; tysiące też gromadzą się na wskazanem miejscu zboru, pod Czarnym Dunajcem. Od Czorsztyna, gdzie Kostka przebywa, jeżdżą sztafety gęste do obozu, z miejscowych, bo nie inszych, junaków złożone. — Z tego to zapewne czasu, gdzieś w kołodrożnej wsi powstała, płacze się po dziś dzień śpiewka:

„Jedzie wojsko od Czorsztyna —
Matko moja, poznaj syna —
— Jakże ja go poznać mam,
Kie ja biedna, a on pan“.

Minął wiek. Czas w konieczności swej nadniósł inne sprawy. Polska, osuwając się ku upadkowi, wydała z części niezspsutej krwi ogniste drgnienia, protesty. Przeciw „pokojuemu“ zalewowi kraju przez moskiewskie żołdactwo wystąpiła konfederacja barska. Z tego wielkiego ogniska honoru, rozpalonego we wschodniej mieścinie, przenosiły się, jakby wichrem ciskane, głównie jarzące na obszary ziem Rzeczypospolitej; owdzie gasły, owdzie rozniecały płomień. A Pułaski Kazimierz, wódz i ramię konfederacji, był istnie jak Latający Holender: tu i tam widziany. — Wiadomem też jest z nadmienień, że przed wzięciem Lanckorony bawił jakiś czas na Podhalu w Gorcach, gdzie nawet kamień wskazują z wrytą odnośną datą (przypuszczalnie: nagrobek zmarłego z ran towarzysza, Koldrasa Lackiego). — Ze czasu tego pobytu konfederaci barscy werbowali ludzi na Podhalu i że chętny znajdowali posłuch, świadczy, doniesiona do dziś, zachęcająca przyśpiewka:

„Werbuj sie, sykuj sie do konfederatów,
Dadzą ci konisia i trzysta dukatów“.

Po rozbiórce Polski, gdy południowe ziemie Rzeczypospolitej przeszły pod rządy Austrii, zmieniły się też i formy werbunku na Podhalu. Już nie ta lub inna sprawa była pozewem, lecz racja państwa, nieznaną lub obojętną ludności. — Urzędnicy wojskowi „becyrku“, mając listy poborowe, sporządzone przez władze gmin, posyłali na wieś ramiona swe, tak zwanych „łapaczy“, którzy, wpadając znienacka, najczęściej nocą, do chałup, łapali wypisanych, o ile ich, nie zdających uciec, zastawali. Powiada o tem śpiewka:

„Byliby mie byli na wojenkę wzieni,
Kiebych był nie uciek z komory do sieni“.

Niechętnie dawano się łapać. Złapanego bowiem brano, jak więźnia, strzyżono, zapinano w białe kamasze i kabat i posyłano w dalekie, obce „taljańskie kraje“ abo do Niemiec, na ciężkie przeprawy. Służba trwała lat dwanaście; gdy który wracał po latach do domu, to kaleką lub steranym już dziadem.

Nawykłym do swobody Podhalanom nie w smak była taka poniewierka. Już i duma żołnierska, wmawiana obcym językiem, nic ich nie przyniewalała. Dziękowali za nią pięknie.

„Cysarzu, cysarzu, wielkomozny panie,
Dałeś mi sabelkę — na... bych ci na nią“.

Przed „łapaczami“ uciekali, jak jeno który mógł: oknem, sienią — kryli się po piwnicach, po lasach — a schwytani, dezserterowali i, bojąc się zostać we wsi, uchodzili w góry. Spadali stamtąd, jak jastrzębie głodne, na bogate dziedziny „uherskie“.

„Kiedy sie rusymy z Tater do Budzina,
To sie napijemy uherskiego wina“.

Tropiono ich po górach, po kryjówkach skalnych, nieraz całe oddziały huzarów zapuszczały się w Tatry za nimi. Wójtowie na węgierskiej stronie, t. zw. „rychтары“, mieli surowo przykazane pomagać władzy przy chwytaniu onych, co też i wykonywali, jak w pieśniach słyszemy.

„Zeby to Panbóg dał, coby ja sie wrócił —
Rychtarem bych orał, huzarami młócił“ —

śpiewa zapewne jeden z takich, prowadzony w okowach do miasta.

Ze zmianą form rządu zmieniała się organizacja wojska i formy poboru złagodniały. Racja państwa-obrony już się stała zrozumialszą na wsi. Przemoc też w przebiegu lat uczyniła swoje. Niedługi uszedł czas — i nasi butni podhalańscy chłopcy, nie chwytni, sami na wezwanie stawiają się na miejsca asenterunku. Już i pewna żołnierska chępliwość, bliska ochocie, poczyna się u nich głosić. Jakoż i śpiewki inne czas nawodzi.

„Wesoło mi grali, wesoło śpiewali,
Kie mie w Nowym Targu do miary stawiali“.

W wieku XIX rozjarzą się jeszcze na Podhalu iskry buntu, łącznie już ze sprawą Polski — owa znana w 46 roku krwawym rebelja chochołowska, do której przez Andrusikiewicza zwerbowany lud z okolic Chochołowa, Dzianisza, Cichogo, zapisał się chlubnie wystąpieniem swem na karcie walk o niepodległość. Poczem szarość pozytywna, jak mgła nawiana z ziem okolnych, pokryła, zdawało się, i tę wysoką dolinę.

Minęło wieku pół. Stojąca u wrót w r. 1912 wojna z Moskwą kazała pomyśleć o stworzeniu polskich wojskowych organizacyj. Ruszyło się, co żywe, gorętsze — i Podhale nie ostało wtyle. Powstałe w owym czasie „drużyny podhalańskie“ nawiązały charakter swój do tradycji tej ziemi. Święto rocznicy rebelji chochołowskiej, ów głośny zjazd w Chochołowie, jak i w tymże

roku 1913 obchód w Nowym Targu konstytucji 3-go maja, pozwoliły stwierdzić szybki i piękny wzrost drużyn. Do tysiąca chłopców, jak las świec jarzących, stanęło w szeregach na rynku nowotarskim.

Topniejące, jako się zdawało, chmury konfliktu zbrojnego osłabiły rozpęd zaczątkowy. Gdy miano nad utworzeniem z drużyn pogotowia zbrojnego zacząć pracę, zaszły wypadki niespodziane — wojna i pierwsza faza jej: mobilizacja. Z Podhala pobrano i powołano do armji wszystko, co jeno z bronią miało styczność. Rozbito przez to drużyny. Około dwustu najmłodszych poszło ze Strzelcami.

Aże gruchnęła nowina, że tworzą się legjony. Na Podhale przybył Włodzimierz Tetmajer jako komisarz wojskowy, celem przeprowadzenia werbunku. Do dziedzin rzucił manifest porywający. — Zaczem biura werbunkowe rozpoczęły w promieniach swych pracę — jedno na skalnem, drugie na dolnem Podhalu.

Mimo, że czas był niedogodny — prawie najgwałtowniejsze zbiórki owsa — mimo, że mobilizacja już emigracją za morze napoły wyludnione wsi dorezty z chłopów wypleniła, to jednak nie było dziedzin tak lichej, któraby bodaj kilku, kilkunastu chłopców ochotników, ostatek swojej możności, do legjonów nie zgłosiła. I gimnazjum nowotarskie, sama prawie góralska młodź, dało pokaźną liczbę ochotników.

Niezapomniany mi zostanie dzień asenterunku zwербowanych — w Czarnym Dunajcu. Trzystu chłopców z okolicy stawiło się tu „do miary“. — Na placu przed piętrowym budynkiem szkolnym, w którym odbywa się przegląd, gromada kobiet, matek i sióstr, które ściągnęły

za swoimi. Jakaś stara kobięcina patrzy zażawionemi oczyma w okno pierwszego piętra, gdzie „odebrani“, wychylając się, huczą na cały rynek:

„Pódziemy se dołu, ej, dołu ku dolinie —
Kozda nasa kulka wraha nie ominie“...

— z chlupaniem połyka łyzy, staczające się po brózdach lic, wreszcie, nie mogąc się zsilić, wybuchają głośnym szlochem.

Z okna pierwszego piętra przez ciżbę głów huczających wychyla się po pierś młody wyrostek. Woła w głos, by był słyszany:

— Iciez, mamo, du domu. Nie krzyccie, bo ni macie o co. I takby mie wzieni — a ja wolę tu, przy legjonach, przy nasych. Iciez du domu, nie stójcie. Przydę jesce, bo nam obieceli urlop, to wam pomogę zebrać z pola.

Ucichła, przygarbiła się, naciągła chustę na głowę i posłusznie odeszła.

Parę niewiast młodych otacza rosłego chłopaka, który płacze.

— Coz jemu? — pyta ktoś. — Cy go odebrali?

— Haj!.. temu krzycy, jeze go nie wzieni.

— Widzieliście wy?

Przechodzi wójt z teje wsi.

— Mój wójcie — zwraca się doń ów chłopak — pytam was pięknie, wstawcie sie za mną...

— Ja juz gadał konwisyji — rzecze wójt — jeze mas strasną chęć, chłopce, ale coz... skrony tych palców ni mogą cie wziąć. Taki przepis.

Chłopak podniósł dłoń prawą. Czterech palców brak. W jakieś bitce ucięte lub też z urodzenia...

— Ja tą ręką lepiej trafię, niżli poniektory zdrową. Hań wiedzą wójt: przecie ja od pięci lat raubszycuję, a nie zdarzyło mi się chybić.

Wójt przyświadczył z uznaniem:

— Prawda. Ale coż poradzis, kie taki przepis.

Przeszli przez surową „miarę“ chłopcy: z Witowa, Chochołowa, Dzianisza, Cichego, z Czarnego Dunajca, Wróblówki i t. d.

Półtora kompanji „odebranych“ ustawiło się na rynku.

Słowa do nich ogniste komisarza Tetmajera. Komenda: „Baczność! W lewo zwrot!“ Dopiero zszeregowani — już żołnierze. Pomaszerowali dumnie do Nowego Targu. Śpiewki się przed nimi niosły, lecz już inne, niż czasu minionych werbunków.

„Prostuj se głowickę
E Jędrus bassamtobie!
E bo hań po dolinach
Idzie hyr o tobie“...

„Nieście se głowicki
E prościutko a dumnie —
Coby powiedzieli:
Haj!.. jak sie niesą siumnie!“

I ponieśli się „siumnie“ — a „hyr“ szedł za nimi. Wysłużyli sobie w Polsce własną dywizję, której też „Jędrus“ z Białego Dunajca generałuje.

II.

SOBÓTKI.

Na Galicowej Grapie
Sobótek dziś nie palą:
Na wojnę poszli chłopcy,
Na odpór przeciw Moskałom...

Tak mi się czasu wojny zaczęła Duma o Galicy — niedokończona.

Staliśmy wonczas naprzeciw Moskali. (Jakże to widzi się dawno!)

Poszła z Podhala wszystka młodzież, skrzyknięta hasłem nakażnem na obronę dziedzin — któż, myślimy, będzie tam sobótki palił?

Zresztą paliły się nam co noc sobótki przerażne — gdyśmy z onym pułkiem czwartym dążyli przez Lubelskie, Siedleckie, podlaską ziemię, ku Litwie. Płonęły wsi, miasteczka, stogi zbóż — szliśmy w okolu pożarów. Co noc wynosiły się pod strop niebios grozą zażęgłe łuny. (Jakże to dawno!)

A w on czas podjesienny mobilizacji — gdy ziemią poszedł wstrząs? Kopacze na zagonach prostowali zgięte grzbiety, patrząc na łyskające drużyny, zdziwieni:

„Coz sie to hań świeci,
E coz sie to hań łyska?“
— „Dyc to nasi hłopy
Złozyli ogniska“.
„Cyz to o tym casie
Sobótki palują?“
— „Z-edyć to hań w Polsce
Wojnę uchwalują“...

Uchwalili wojnę w Polsce, krótką — niedługą. Zapał serdeczny niósł. Przecież to w pacierzu polskim: „O wojnę powszechną ludów prosimy Cię, Panie...“

Znoszono, co kto miał. A młodzież najżywotniejsza ofiarowała, co miała — mało - niewiele — swe życie.

Poszły oddziały szare... Krzywopłoty — Laski — Konary — Mołotków — Rafajłowa — Jastków — Koszyszcze — Rokitna... Wejście do Warszawy. Później Szczypiórno — Huszt — Murmań... Dramatu polskiego ciąg dalszy.

.....
Nie palono sobótek przez lat kilka na Grapie Galicowej.

Aż ci podorastała młodzież nieletnia (życie! życie!) — i tej wiosny, tych Zielonych (jak zielonych!) Świąt, gdym akurat w Poroninie na urlopie bawił, zapłonęły po górach ognie sobótkowe.

Ledwo zapadło słońce za wał Gubałówki i ponikły z wierzchołków Tatr obłaski zorzy zachodu — gdy na widnych wyniesieniach poczęły wykwiatać światła. Na zboczu Grapy, na Zubsuchem, na poronińskich działach, na oddalnych, nocą leśną omoczonych Reglach, na wszystkich okolnych wzgórzach roznieciły się ognie

ruchliwe. W zapadającym już zmierzchu korowody światła idą — rozdzielają się, łączą, kreślą zakola, elipsy — dziwne sprawiając oczom misterje.

Pamięć zbaczuje „pogańskie“ (jakże nieodległe!) czasy — gdy święte ognie płonęły po górach: obchodzono w weselu święto Kupały. Musiało to być w czasie, gdy wiosna z latem się mija, — gdy Rodzanica obejmuje swoje panowanie, by je oddać pod jesień Marzannie. Tańczono koło ogni święte wesela tańce — hukano bogu pieśni-zaklęcia odczynne — a kiedy ognie przygasały, a na pomroczy nieba wyjawiał się srebrzysty półkrąg Swarożycza i osuł poświatą ziemię: szły pary młode w drzeniu serc szukać w wilgotnych zadrzewiach, w cieniu spróchniałych pni świecącego tajemniczo kwiatu paproci...

Przyszedł Kościół i wytłumaczył, że ognie winno się palić na Ducha Świętego Zesłanie, jako, że Duch Święty objawił się w postaci płomieni nad skupionemi głowami apostołów. Że Rodzanica, Wielka Dziedza, jest Rodzicielką, Matką Boga. Że Marzanna czy Szwantya Marza jest nikt inny jak Święta Maryja. I tak to się powoli — po latach — ludzie prości nauczyli „wierzyć“. Z dawnych „pogańskich zabobonów“ pozostały w tradycji sny jakieś, mgliste przypomnienia — takim to dziś odbicie Sobótek.

— Cicho! śpiewają.

Od jednych ogni ku drugim niesą się śpiewki tęskliwe.

Lecą wyznania śpiewne, odpowiedzi. Odpowiadają dziewczęta chłopcom — i naodwrot. Śpiewają pasterskie sprawy, znane lub słyszane.

— Kiedyś cie uwi­dział
W zielonej ubocy,
Zamiłowały się
W tobie moje ocy.
— Wtedy ja cie, wtedy,
Janicku, poznała,
Kiedyś owce zganiał
A ja wołki gnała...

Wierzchem idzie korowód pochodni. Gdzieś tam
bucha ognisko wysokie.

Tatry tają w mglistej omroczy oddali.

Poświata półksiężycą osnuwa ciche osiedla.

Skądś dobiega żałosne zawro­dzenie skrzypiec, dy-
szą basy. Gdzieś przy ognisku tańcu­ją.

Potworzyły się chóry dziewcząt i osobne chłop­ców.
Rozśpiewała się noc. Jenó głosy dziewcząt mocne, pełne,
niesą się daleko — a chłop­ców głosy słabsze, głosy
niedoro­stków i bardziej jeszcze zgaśłe inwalidów. —
Niemasz tych, co śpiewowali: — Leżą kędyś w Karpa-
tach, w piachach Woł­nia, w Alpach włoskich, w pusta-
ciach serbskich, w Rumunji... a ci, co jeszcze żyją: na dro-
gach obcych, dalekich się tłuką.

I oto mimowoli myśl nawraca ku temu samemu.
Ku tym sobótkom strasz­nym, które zajęły świat.

„W każdym momencie jedno tkwi:
Pożarem płonie świat.
W każdym momencie jedno brzmi:
Brata uśmierca brat.
Nic myśleć, jak to, przez godzin ciąg:
Pali się świat — mordercą brat,
Wojna jest w krąg!“... (L. Marek.)

Przeszły, oddaliły się lata wojny, z której, jak wyspa z potopu krwawego, wyłoniła się, pokoleniami wytęskniona, Polska...

Zdawałoby się, że wróciła też sobótkom, na wolnej ziemi palonym, radość weselna. Że z wierchu na wierch — od ogni do ogni — nieść się będą wyzwolone, oddechem wolnych piersi spotężnione, odkrzyki orle, pieśni życia, ba, już nie pieśni — płomienie!

Nic z tego spodziewania... Gdy przyjdzie czas Zielonych Świąt, jako i dzisiaj przyszedł, zapalają się sobótki tu owdzie po wierchach, jako to po zwyczaju, lecz śpiewów mało skąd słychno ni hukania — wnet z wieczora gasną nikłe ognie — wszystko przydusza mrok.

Jakiś przygniot duszący nad ziemią tą niepodległą zawisł...

Na Galicowej Grapie
Sobótki wprowadzie palą —
Ale dusze pogasły —
Smęt je przygniótł skrzyżalą.

III.

WARTA.

Dla nas dzieci, których uwaga obracała się z musu koło tego, co chałupę z zewnątrz poruszało, jednym z ważnych, najbardziej zapamiętanych z onych lat z domu rodzicielskiego momentów była spadająca z nienacka „warta“.

Spadała w pewnych odstępach, nieodwołalnie, jak konieczność. Nic też nie miała w myślach dzieci wspólnego z onemi radosnymi momentami, a również w pewnych odstępach czasu zjawiającemi się: jak organista z opłatkami lub ksiądz po kolędzie.

— Wartę przynieśli! — wzbudzało w chałupie rozgruch.

To, co dzieci, a i starsi zwali oną „wartą“, był to znak: naprzód róg wołowy, potem krótki, drewniana trąba, a gdy tę stracono — zwyczajnie wyciosany z drzewa półkrażek z rączką, niby ciosek, na którym wyrżnięte było literami niezgrabnemi: WARTA.

Posyłany okółką po wsi, znaczył, gdzie go ostatnio podano, że z pod tego numeru mają iść na wartę.

Zwyczajnie dwa numery sąsiadujące ze sobą razem pełniły wartę.

Znak ten, mistyczny krążek w kształcie półmiesiąca, mający władzę tajemną wywoływać na noc ludzi z chałup — choćby na dworze nie wiem co: deszcz, pluta, zawierucha — wzbudzał naturalnie cześć trwożną, niemal lęk w umysłach dzieci. A spadał jeszcze na dopłatek zwyczajnie wtedy, gdy najwięcej zajęć we dnie, abo jesienią wieczorami, gdy ludzie docna zmozoleni pracą, gdy nikto nie miał czasu ni ochoty na noc z chałupy iść. Słuchać jednak trza było — bo „warta“.

Tak żyło z nią jedno pokolenie, drugie — i dziś niewiele, słyszę, w stosunku onym się zmieniło.

Oto przychodzi na noc do chałupy Błażej, spracowany, z lasu. Siada ciężko na proggu, ani się rozbuc nie ma siły. Myśli jeno o tem, by wieczерzę zjadłszy, wyciągnąć kości na barłogu.

A tu powiada żona:

— „Wartę“ pod wieczór przynieśli.

Poziera Błażek na dzieciska po ławach śpiące:

— Ten ze szkoły przyszedł—to sie za bydłem ulałało — już ani wieczeryzy nie doczekali. Jak ich tu budzić? Trza bedzie samemu iść...

Bez szemrania zaobuwa zpowrotem kierpiec, który jął rozzuwać — skłapnął, co mu żona ustroiła — zaodział się i poszedł. Przecie — „warta“.

Obrócił się po sąsiadowe chłopczysko, który już, zebrany, czekał. Wietrzno, ćma, ani drogi uznać — a do wójta przez potoki, wertepy pół mili.

Prawie wójt miał iść spać, późno z powiatu wróciwszy, kiedy się „warta“ doń zameldowała.

— Kto? Jak? Co? Warta?... Aha, Błazej... A ten czyj?

— Sąsiadów.

— Dobrze. Nie kręćcie się, nie bałamućcie po nocy, ino zatrąbcie, raz, drugi i idźcie spać.

— Kie trąby nima.

— No to sie i bez tego obejdzie. Z Panem Bogiem.

Wyszła warta od wójta — przeszła wsią do góry i nadół — wreszcie, wróciwszy pod wójta osiedle, gdy wiatер jął doimać godnie, spełniwszy swój obowiązek, poszła spać do szopy. O przedświtaniu bowiem trza się zerwać, by na czas zdążyć do domu do pracy.

Wartę w gminie wprowadzono — pamiętnika niema — gdy był szpichlerz gminny, kasa: — trza było wartować. Dziś ani kasy, ani znaku ze szpichlerza — a warta ostała.

Rozumiećby jeszcze można, że na wypadek ognia, pożaru, warta mogłaby się przydać. Ale weźmy wieś daną, położoną w roztoce, ciągnącej się na mile pomiędzy górami, rozrzuconą osiedlami po skrytych potokach, zachodzącą załomami poza wysokie gronie... choćby całe osiedle gdzieś gorzało — z drogi od wójta nie ujrzy.

— Czegoż więc wartują?

— Wójta — ktoś złośliwy powie.

Ale cóż — taka ustawa. Wartę raz ustanowiono — wieki przeszły — i naród chodzi, ani mruknie.

Przeciw innym nakazom dużo ma do powiedzenia. Naprzykład: kazują na drogi...

— Coż im z temi drogami? Czy my w podatku na nie nie płacimy? Każ sie te pieniądze podziewają?

Kto je zjada? Trudno już na chłopa wszystko... Dość zapłacisz, to jeszcze rób. Wymiarkowania żadnego. Djascy nadali aj nadali — kiedyż się to skończy?

— Ja ta — powiada drugi — drogami nie jeżdżę. Niech ten naprawia, co je psuje. Na żydków, konwisarzów daćby opłatę...

Albo przychodzi nakaz z gminy: — opał do szkoły dostarczyć...

— Coż to — na szkołę nie łożymy? A to na to, na owo. Ja słyszał, jak do budżetu kładli. Już się tam i opał zmieścić winien. Wtożby doreszty wytrzymał! Czy to chłop ino o tem ma myśleć, coby nauczycielowi ciepło było?

— Hej. Ty woź drzewo, dostarczaj, a nauczyciel będzie ręce grzał i śmiał się.

— Djabli z temi ciężarami...

I — zdarzy się — wójt musi sam drogę naprawić, nauczyciel sam drwa rąbać... Bo naród czasu nie ma — i nawyrzekawszy na „ciężary“, wkońcu nic nie robi.

Jeno przy „warcie“ nikt słowa nie piśnie, nie rozumuje. Chodzi święcie i „wójta wartuje“.

„Warta“ być musi. Dzieciom już w krew weszła — i stała się obowiązkiem, musem. Nic to, że sens straciła — a może właśnie dlatego.

Świat przeminie, a „warta“ ostanie.

IV.

O PIELGRZYMCE DO RYZYMU.

Właściwie słowo pielgrzymka, pielgrzymowanie, złożone jest z obrazami zakurzonych gościńców, pustynnych, ciernistych dróg, przepalonych żarem słońca piachów, ożywczych oaznych studzien i błogosławionych cieni kołodrożnych drzew, słowem: z pojęciem długiego, piechotnego trudu, u którego końca, jako cel wszystko-przewycięzny, jaśnieje wizja świętego, dalekiego miasta, wyniesionego tęsknotą znużonych pielgrzymich dusz do bram samego raju — nazwą jego uroczną: Rzym czy Mekka.

Z pojęciem pielgrzymowania dadzą się jeszcze połączyć wielbłądy, osły, mniej pocztowe dyliżanse, a już wcale nie koleje żelazne czy samochody. Jak bądź — gdy uszła treść — nazwa „pielgrzymek“ ostała. Zaś dla zgaszenia skrupułów, jeśliby były, rzec można: Ciała wygodnie jada, gdy dusze pod przygniotem znużeń pielgrzymują. Rozdwoj taki, jak wiemy, wszystko zgodzić może.

Rok bieżący pielgrzymek powszechnych do stóp Piotrowych, *Anno Santo*, przywodzi mi na pamięć ową

sławną pielgrzymkę z Polski jubileuszową do papieża Leona XIII na wiosnę w roku 1902, którą, choć nie brałem w niej udziału bezpośrednio, miałem sposobność oglądać.

Pamiętnej dla mnie wiosny onej wyjechałem był ze Lwowa z kol. Leopoldem Staffem na miesiąc do Włoch. Rzym był celem. Bawiliśmy po drodze w Wenecji, Bolonji, Padwie, Florencji. Był to dla nas młodych, pierwszy raz cuda Włoch widzących, jeden miesiąc radości i śmiechu. Ojczaszkował nam niedoświadczonym, we wdzięcznem ostały dla nas na zawsze wspomnieniu, ś. p. Wł. Bełza, sekretarz Ossolineum, który coś siedmnaście razy był we Włoszech, a do Rzymu nigdy nie dojechał i papieża nie widział; gdy do Florencji, zwiedzając miasta północnych Włoch, dobił, urlop mu się już kończył. Tak też i wówczas; ostatek nas z ciężkiem sercem, z Florencji zawrócił.

W Rzymie zastaliśmy już pielgrzymkę polską i spotkaliśmy się z Kasprowiczem, który z nią przyjechał, pisząc do „Słowa Pol.“ listy z drogi: *Ad limina Apostolorum*. Razem też stanęliśmy w „Albergo Boccaccio“, wcale nie tyle wesołem, jakby sądzić z imienia.

Nazajutrz po przyjeździe zobaczyłem się w kościele św. Piotra z Matką moją, która z pielgrzymką przybyła. — W pielgrzymce byli ludzie ze wszystkich ziem rozdzielonej Polski; spotykało się chłopów z Krakowskiego, z Podhala, z Lubelskiego, od Łowicza, z Kujaw; również sporo inteligencji, mieszczan. Jako to w rzeszy licznej, byli ludzie różni, których różne impulsy pociągnęły z domu. Był np. mieszczanin ambitny, piekarz czy masarz z zawodu, który poto się wybrał, by Wło-

chom zaimponować. Oto miał szpilkę cudowną w krawacie, która, za pociśnięciem guzika w kieszeni, elektrycznie się raptem zaświecała. Jadąc tramwajem w Rzymie, naciskał guzik znieńacka i patrzył wokół po ludziach, jakie to wrażenie czyni. Nikt się jakoś nie cudował temu. Przeto nasz masarz czy piekarz, w ambicji swojej zawiedziony, z pogardą począł patrzeć na Rzym i na Włochy: Co za nieciekawy naród! — Był też mieszczanin drugi, który na ogólną audjencję ubrał się w kontusz. Sądził, że papież go z ciżby wyróżni, kiwnie nań palcem i zawoła ku sobie. Jego też zawód spotkał, znikł w tłumie — jakiś Włoch jeno, ujrzawszy na nim strój wschodni, zwrócił się do sąsiada, pokazując: *Signore, e guardi Turca?* — Większość jednak, zwłaszcza ludzi ze wsi, pobożność tu przyprowadziła. Trafił się nawet skądś krawczyzna mizerny, który — jak mówił — trzy razy był w Ziemi Świętej, a po raz siódmy w Rzymie. Nałogowy widać pątnik, osobny rodzaj. „Ślebobodne“ zachowywali się moi Podhalanie, których przybyła spora grupa. Chodząc po Rzymie jak po Nowym Targu, pozierali z pod kapeluszków, tu to tam, jakby to znali już dobrze, cykali przytem śliną kunsztownie przez zęby daleko pod stopy ludzkie, co lazzaronom ulicznym niezmiernie imponowało.

Przyjechało też z pielgrzymką kilku dziennikarzy z Warszawy, między innymi ś. p. A. Dobrowolski, K. Hofman i na jubileusz papieża Leona z obowiązku nazwiska przybyły, adwokat Leon Papieski. Mało jednak pielgrzymki się trzymali, więcej w towarzystwie naszym przebywając. Z nami zwiedzali podziemne miasto cesarów, rozkopywane właśnie palatyńskie wzgórze, Ko-

loseum, katedrę laterańską, trawą porośłą, wzdłuż wia-
duktu idącą via Latina, bazylikę św. Pawła za murami,
grób Shelleya; z nami pili eukaliptówkę „przeciw ma-
larji“ w opactwie *Tres Fontaines* za Rzymem, a wie-
czorem małmazję w sławnej ze siedmiu morderstw osterji
Salvatore *Rossa* koło *Ponte Brianzo*, gdzie Kasprowicz
miał po polsku mowę, oklaskiwaną gorąco, do zgro-
madzonego poza filarami plebsu rzymskiego. Z nami
też obiady jedli u Coradettiego. — Brałem od nich,
jako członków pielgrzymki, bilety na obiad wspólny
pielgrzymów, by tam widzieć się z Matką. W porze
inszej dnia trudno o to było, gdyż podzielona na grupy
pielgrzymka zajęta była oglądaniem ciekawości Rzymu,
o czym Matka przy obiedzie, pełna świeżych wrażeń-
owych wzruszeń, mi opowiadała. Porównując dzień mój
z Jej dniem, stwierdzałem, przyznam się ze wstydem,
że daleko lepiej czas ten wykorzystywała; daleko więcej
objektów zwiedzała. Ale bo też, pomijając wiele przez
znużenie, zwłaszcza zwiedzanie muzeów, mniemałem, by-
łem pewny w pewności swej młodej, że każdej chwili,
kiedy zechcę, co miesiąc mogę przyjechać do Rzymu.
Tak blisko — a lata przede mną. (Minęło ich już wiele —
i po raz drugi nie byłem. Nie rzuciłem był solda do
fontanny Trevi.)

Jeżeli zwiedzanie Rzymu — jego cudów, pamiątek
pierwszych chrześcijan, katakumb, upadłych w proch
monumentalnych pałaców cesarzy, władców świata
i z marmurów ich wzniesionych bogatych świątyń, ba-
zylik, symbolów władzy papieżstwa — dało pielgrzy-
mom naszym wiele zastanowień świętych, wrażeń i wzru-
szeń podniosłych, to cieniem zaszły na nie, widziane

rozczarowaniem dusz prostych, reżyserowane modą włoską uroczystości kościelne.

Już wielkie popłósenie serc pątniczych — bo inaczej trudno to określić — sprawił nastrój, przez lud nieoczekiwany, na ogólnem przyjęciu w sali audjencjonalnej w Watykanie... Olbrzymia sala, wypełniona przez tłum pielgrzymi po brzegi. — Środkiem szpaler, trzymany przez straż bogato odzianych nobilew. W masie ciemnej wyznaczają się rdzawociemne, pobródzone twarze: tych od Krakowa, od Sącza, od Łowicza, z Kujaw. Są i z Podlasia, z ziemi krzyżów, męką, w twarze wognioną, stygmatyzowami. Tłuką się serca chłopskie w trwożnem podnieceniu: jakoby u wrót zbawienia stanęli. Oczy obrócone na drzwi, skąd domniemanie ukazać się ma Ojciec święty, nie widzą roztasowanych co dziesiąta osoba kleryków, ni za biletami weszłej publiczności włoskiej, lubiącej wszelkie wystawne teatrum. Dusze proste wierzą, oczekują, że za ukazaniem się Ojca św., jakby za podniesieniem w czasie sumy, pochyli się tłum do ziemi, jak zboże wiatrem przygięte — stanie się cisza wielka przy dygocie serc — i spłynie na wszystkich, niby balsam z nieba, błogosławieństwo. Aż tu... roztwierają się drzwi — zrywa się w sali huragan okłasków — jakby obłęd, katastrofa, jakby powała zleciała — niezrozumiałe, opętańcze krzyki: *E viva papa re!* Co słabsze kobiety mdleją — ktoś krzyczy: „Niech żyje Leon Trzynasty, król polski!“.

A wśród tego rumoru, hałasu, siedząca figura starca niby z wosku, niesiona przez szpaler sali jak faretron, coś ustami mówiąca, uniesionemi palcami zgiętymi bło-

gosławiąca. — Skurczyły się potrwożone dusze chłop-
skie, załęły serca.

A dopieroż nieszpory, z całą pompą ceremonjału
przez kardynałów odprawiane, z okadzaniem podług
hierarchicznych stopni... Albo oklaskiwanie w kościele,
niby w koncertowej sali, śpiewających na chórze soli-
stów... Włosi pompę i operę lubią.

Niejeden prosty człek zastanowił się w zranionem
sercu. — Przybył tu oto z pielgrzymką, by się ku Bogu
przybliżyć. A ponoć bliższym Go czuł we wsioskim drze-
wianym kościele — gdy ksiądz pleban-staruszek zainto-
nował drżąco: „*Święty Boże!*“, a kościół cały zagrział
za nim: „*Święty a nieśmiertelny!*“.

To też nie zdziwiłem się wcale, gdy, przy odjeździe
pielgrzymki, zagadniony przeze mnie na dworcu jeden
z grupy znajomych Podhalan: — Coście ze Rzymu wy-
wieźli? — odrzekł, zcisząc głos:

— Powiem wam, boście naski. Jakech tu przybył,
toch na tę dziurkę pasek zapinał — pokazał — a teraz
na tę...

V.

WSPOMNIENIA WITKIEWICZA.

Było to przed laty dwudziestu kilku. Odwiedziłem był z Witkiewiczem pracownię prof. Nalborczyka w Zakopanem, który rzeźbił popiersie ś. p. Adama hr. Krasieńskiego. Wnętrze pracowni nasunęło Witkiewiczowi wspomnienia z czasów jego studjowania w Monachjum. Siedząc na niskim stołku na środku pracowni, gdy Nalborczyk modelował w glinie klasyczną głowę ordynata, ilustrował on Sokrates rękoma w powietrzu słowa, opowiadał:

— Były to czasy wyjątkowej biedy, głodowania. Miłe we wspomnieniu, gdy minęły. Mieszkaliśmy w trój — z Chełmońskim i z mało później znanym a zapowiadającym się świetnie Jarzmowskim, rzeźbiarzem. Zjedliśmy, co było jadalnego — wyszukaliśmy skrzętnie wszystkie skórki chleba, ba, ośródk, których się do wycierania węgla używało — sprzedaliśmy z odzieży, co się sprzedać dało — i już nie było się wbrew czego jąć. Głód nas dosłownie obalał. Mieliśmy wprawdzie w zapasie ponoć jeszcze talent — możnaby było obraz

namalować i za byle grosz spuścić, lecz na to trzeba płótna, a na płótno pieniędzy. Błędne koło. Gdy tak z dnia na dzień stawało się ciężej, gdy widziałem coraz żałośniejsze i bardziej beznadziejne miny mych przyjaciół, tedy to — prawi Witkiewicz — ku literaturze widać już wówczas przykłonny, aby im czemś czas gnio-tący zająć i myśli ich ku inszej, cięższej sprawie zwrócić, począłem im opowiadać historję pewnego, obar-czonego liczną rodziną urzędnika, który pije dlatego, że dzieci są głodne, a dzieci głodne dlatego, że ojciec pije — i jest sytuacja bez wyjścia. Codzień opowiadałem im dalszy ciąg tej historji — i moi współtowarzysze, przez jakąś podświadomą analogję litosną, wzyli się tak w położenie, z dnia na dzień beznadziejniejsze, onego urzędnika, że wprost zapłakiwali się nad losem jego, jak bobry.

— Nadszedł wreszcie czas — ciągnął opowieść Witkiewicz — że trzeba było coś stanowczego przed-sięwziąć, inaczej — czuliśmy to — los nas, jako onego nieszczęśnika, zmoże. Płócien, jak się już rzekło, nie mieliśmy, ani też nie było ich zgoła za co kupić. Lecz był w pracowni, z dawniejszego lokatorstwa pozostały, niewykończony kicz Siemiradzkiego. Postanowiliśmy po wahaniu namalować na nim rzecz, która nas wybawi. Jakimś cudem zdobyliśmy farby i przystąpiliśmy nie-zwłocznie do pracy. Miał to być obraz: „Czabani na stepie“. Step malował Chełmoński; mnie przypadły do zrobienia postaci czabanów, a już razem mieliśmy zro-bić ich wieczerzę. Rozumie się, że najlepiej wypadło mięso (malowane *con amore*), które na ogniu pieką. Wprost skwierczało z obrazu. Skoro obraz był gotów,

uczyniliśmy wysiłek ostatni, by zdobyć ramy. Podpisaliśmy owe dzieło pseudonimem nieznanym „Polono Greco“ — i, jako posłańcy rzekomi schowanego za kryptonimem tajemniczego malarza, zanieśliśmy w triumfie obraz na wystawę. Obraz został przyjęty. Pisano o nim pochwalnie, nawet wprowadził zaciekawienie duże w artystyczny świat monachijski, zgadywania, zakłady, kto to może być ów „Polono Greco“, lecz — niestety — nie został sprzedany. Musieliśmy go zpowrotem, jako posłańcy niby, do pracowni taszczyć. Na tem płótnie dopiero, za inwencją przyjaznego młodemu, bardzo wówczas pokupnego Brandta, namalowany i firmą jego podpisany obraz został przezeń „Kunsthändlerowi“ do Ameryki sprzedany. Ciekawą byłoby rzeczą zbadanie w Ameryce zakupionych w tym czasie w Monachjum obrazów. Na wierzchu byłby np. (jak w tym wypadku) Brandt, pod tym Chełmoński i ja, na spodzie Siemiradzki — lub inaczej.

— Nie przeżywaliśmy już później — prawili nam dalej Witkiewicz — tak nielitośnie długiego i o ziemię rzucającego wprost stanu dosłownej nędzy, choć okresy głodu naturalnie w cygańsko-artystycznym naszym ówczesnym monachijskim życiu w dłuższych czy krótszych odstępach powtarzać się musiały. Pamiętam moment...

— Był dzień wczesnej wiosny, słoneczny, ciepły. Pustka i nędza pracowni wyгнаła nas w przestrzeń, na świat boży. Wyszliśmy wetrój, jako zwyczajnie nierozłączeni, za miasto, by młodo-wieśnym pejzażem zająć oczy i stłumić choć na jakąś chwilę czyhające w nas i osłabiające podłe uczucie pustego żołądka. Gdyśmy

przechodzili koło jakiegoś restauracyjnego za miastem ogródka, widzimy poprzez zaplecź ogrodzenia: Maks Gierymski siedzi przy stoliku i je obiad. Jak zawsze, dystyngowany, elegancki; ubranie i bielizna nieposzlakowanej czystości; na stole cylinder lśniący, obok nieodłączna laseczka i glansowane rękawiczki. — Zaleciał nas z ogródka słabiący zapach potraw. Wypychamy Jarzmowskiego:

— Idźże, pożycz od niego marek kilka. Na pewno ci pożyczę.

Z ociąganiem, dał się przecie przykłonić — poszedł. My dwaj stanęliśmy, obserwując poprzez ażur płotu przebieg wyprawy i oczekując w trwoźnym niepokoju-nadziei jej skutku. — Gdy Jarzmowski przybliżył się do stolika, gdzie siedział Gierymski, ten, zawsze uprzedzająco grzeczny, wyciąga doń zdaleka rękę:

— Witam kolegę! Proszę, niech kolega siada.

A gdy Jarzmowski usiadł obok, Maks, wskazując otwarty pejzaż zachodu, z żywością powiada:

— Widzi kolega, jaki wyjątkowo cudowny zespół barw!... Jakie niesłychane niebo!...

A Jarzmowski, wpatrzony zezem, jakby urzeczony, w befszytk, leżący przed Gierymskim na talerzu, przytakuje z przekonaniem:

— Nadzwyczajne... rzeczywiście... nadzwyczajne...

Posiedział przy stole chwilę, wysłuchał pięknego wywodu Maksa o sztuce wogóle, myśląc o czym innym, nie miał jednak odwagi wykrztusić słowa o pożyczce i, pożegnawszy się wnet, wrócił do nas z niczem. Cóż było robić — gwizdząc, poszliśmy dalej w pole.

— Był ten Jarzmowski — przedstawiał go nam Witkiewicz — dziwnym zaiste człkiem. Był on synem konsula, gdzieś pod słońcem Sahary urodzonym. Był smagły i ciemnej, spalonej cery, jak Beduin. Milczący był zazwyczaj w sobie i ponury. Ponurość ta wrodzona oblicza, która jak chmura zakrzepła, kryła wcale nie posępne i złote serce, uderzała ludzi, gdzie się jawił, i nieraz powodem była nieporozumienia. Oto np. siedzi Jarzmowski w jakieś święto (gdy flota skądś zniecka spadła) przy stole w sali „Bräuhausu“ — siedzi nad kuflem ciemnym piwa, ponury jak samobójca. Siedzący pobok Niemcy poczynają się trącać łokciami, wskazując nań oczyma, wreszcie jeden z sąsiadów bierze na odwagę i w poczciwości serca swego zwraca się doń z perswazją: „No czemu pan się martwi? Das Bier is aber jo gut“.

— Ów Jarzmowski — ciągnął Witkiewicz — po latach paru czy więcej, bawiący już w kraju, postanowił wprowadzić w czyn dawno tkwiący w nim tajemny zamiar: dostać się do ojczyzny urodzenia swego, do Afryki. Nie mając innego sposobu, puścił się prosto w kierunku południowym, pieszo. Po drodze, gdzieś już na gościńcu Moraw, spotkał się z biedaklerykiem, który znów szedł do Rzymu zostać kardynałem. Juścić dwaj tacy racjoniści łatwo się z sobą zgwarzyli. Postanowili iść razem. Że zaś nie mieli obaj środków, zarabiali po drodze w ten sposób, iż Jarzmowski grał na harmonijce, a kleryk śpiewał. Tak przeszli Austrię, Tyrol, zarabiając grosze po dziedzińcach. I dobrze im się działo. Choć niebardzo. Bo Jarzmowski, co dziś zarobili, chciał zaraz puścić, kleryk

zaś chciał oszczędzać. Nie mogli dojść z sobą do ładu. Wkońcu się też rozstali. — Czy kleryk został kardynałem, nie wiem — Jarzmowski jednak dobił do Afryki. Juścić nie pieszo. Pono go w Szwajcarji francuskiej jako włóczęgę aresztowano i, z łamanej jego francuszczyzny poznawszy, o co mu chodzi, skierowano go do Francji, a stamtąd wysłano go już na koszt rządu do legji cudzoziemskiej do Algieru. Z wielkim trudem, po dużych staraniach i wykupie przyjaciół swych z kraju udało mu się z tej katorgi po latach wydostać. Co potem działał? Miał, słyshałem, mleczarnię pod Lwowem. Z prac jego rzeźbiarskich pozostał tylko, o ile wiem, jeden utwór kapitalny, grupa: „Chałubiński w otoczeniu górali“, w posiadaniu Aleksandra Świętochowskiego.

I wiele prawił nam jeszcze Witkiewicz, wspominając dawne lata, artystów zmagających się z biedą, ze życiem, z ignorancją społeczeństwa, z wąskością estetyzujących powag. O tragicznych załamaniach Kurzawy, Podkowińskiego — słuchało się jak jakichś klęskowych k a t h a r s i s niewtórzonego dramatu. — Szkoda, że te jego dokumentalne wspomnienia nie zostały odrazu spisane. Mówił bowiem tak, jak pisał, jędrnie, obrazowo, bez rozgałęzień, treściwie. Każde słowo, ilustrowane plastycznie rękoma, miało wagę życia, dokumentu. Szkoda wielka, że ich sam nie zanotował. Już w powtórzeniu — po latach — koloryt ich swoisty, ich barwa, ścierają się i tracą.

VI.

ZAKOPANE DAWNIEJ A DZIŚ.

Porównywując po latach Zakopane „dzisiejsze“ z dawniejszem, stwierdza ze smutkiem Witkiewicz:

„Zginęło myślistwo — pasterstwo, schowane w hałach, ledwo tleje — rolnictwo staje się coraz bardziej najzwyklejszym zajęciem, a owies i grule, które się tu rodzą, nie są w żadnym stosunku do cen ziemi i pracy. Przybyło zasię nowe pole pod uprawę: pan, gość. Ten gość, ze swoją bezinteresowną manją do Tatr, a następnie manją ratowania zdrowia, spłynął w podtatrzańską kotlinę w takiej obfitości, że przewrócił wszystko do góry nogami. — Zmiana, jaka zachodzi z tej przyczyny w warunkach bytu górali, jest bezpośrednim przejściem z rolniczo-pasterskich stosunków do hotelarstwa. Gość stał się osiłą, około której obracają się wszystkie materialne sprawy zakopiańsko-góralskiego bytu. Zakopane w sposób gwałtowny traci, a raczej straciło charakter wsi i staje się miasteczkiem, na drodze do zostania miastem. Dawniej przechodziło się je wzdłuż i wszerz, słysząc wszędzie: — „Niech będzie pokwa-

lony!“ — znało się wszystkich, wiedziało się, co i jak do kogo przegadać, porozumiewało się jednym słowem, które, i dla górala i dla mnie, streszczało całą moc wiadomych nam obu spraw i myśli. Dziś góral już nie nadaje charakteru ulicy; tonie w nadmiarze „ceprów“, odsuwa się w głąb ruchu, poza frontowe domy, przeznaczone na sklepy i mieszkania dla gości. I nie ma on dziś czasu na tak bliskie, częste, osobiste obcowanie, jak kiedyś. Góral dawniej był dla gościa wszystkim: i towarzyszem, i przewodnikiem, i służącym, i krawcem, i stróżem, i pełnomocnikiem we wszystkich sprawach z urzędami; był furmanem, tancerzem, kucharzem, jak i współpracownikiem w rozmaitych badaniach nad naturą Tatr. Cieszył przytem swoim pięknem, zachwycał doskonałością mowy, delikatnością i uprzejmością obejścia. Odpowiadało to nerwowemu temperamentowi, ruchliwej wyobraźni i wrodzonej towarzyskości górala, a dla gościa było na tem odludziu rzeczywiście dobrodziejstwem. wytwarzało to bliskie współzycie, wzajemną zależność, pewien dyletantyzm wielostronny bez pedanterji. Była to improwizacja — nie metoda życia. — Dziś się zmieniło... Życie wzięło górali w swoje kluby, dając im możność pracy i zarobku poza osobistem, bezpośredniem opiekowaniem się gościem, którego warunki bytu unormowały się na sposób ogólnomiejski“.

Od czasu, gdy Witkiewicz te słowa pisał, upłynęło lat dwadzieścia. Zakopane jegoczesne — dla nas jest już dawne. Lata wojny i gorsze powojenne wypiękniły je naszej pamięci, odsuwając je w legendę prawie.

Dużo zmian zaszło przez ten przeciąg czasu. Przewszystkiem zmienili się goście. Do wojny jeszcze było jako tako. Przez letnie miesiące przewijało się sporo rzetelnej inteligencji — zimy uciszone poczęły wyrabiać dość sympatyczną społeczność. Pierwsze miesiące wojny nadniosły już strachajłów różnego rodzaju, którzy tu jako we względnie bezpiecznym kącie pozostali, uprawiając politykę komunikatową, denerwując wzajem siebie i otoczenie. To jeszcze nic. Z biegiem wydarzeń strachajły poczuli nawet w sobie bohaterskie dreszcze — dumnie na rynku stojący, naprzeciw krzyża na Giewoncie, pomnik Jagiełły, począł napawać otuchą. Aż uderzyła o Zakopane wszystko przytłaczająca, jedyna na krwi świeżej triumfująca — fala paskarzy. Ludzie o czulszym naskórku chronili się, gdzie mogli, po kątach, przed tą zalewającą wszystko falą chamstwa. Przecie i fala ta groźna cofnęła się, ostawiając kałuże cuchnące, które słońko, wszystkim dobrotliwe, wysuszy. — Dziś, w masie, publiczność letnia w Zakopanem jest powojenna, mieszana, prawdziwie letnia, nijaka.

To — co do gości. A górale?... I tu wojna przeorała trzósłem zardzewiałem po charakterach, po nerwach, po sercach. Gazdowie starzy, których już i mało staje, pocofali się z jarmarku Krupówek do swoich komór samotnych, lub pocichu się w tych hałaśnych czasach ku swoim towarzyszom na cmentarz wynieśli (jako Sobczak Stanisław „Jochym“, Roj Wojciech) — znikomie mało już tych, co wspominają radzi, jak to z panem poetą Nowickim, abo z Tetmajerem, abo z inszymi „godnymi panami“ na Śpis, abo na Orawę, abo ka indziej za Tatry jeździli. — („Były to czasy! nie takie!“.)

Fiakrowanie przeszło w ręce powojennej młodzi, najczęściej służących, „celadników“ (taki chce na gościu i gaździe zarobić; stąd opinja powtarzana o „zdzierstwie“ górali).

W następstwie dopływu w reklamowaną „stolicę letnią“ coraz większej liczby gości, rozwinął się też niepomrotnie „przemysł“ pensjonatowy. Ów przemysł — tu na miejscu po swojsku całkiem pojmovany — ma ten pociągający, osobliwy urok, że nie wymaga żadnej szkoły, żadnego fachowego przygotowania. Ma naprzykład samotna kobieta jakiś kapitałik, zostanie jakiejś ziemiance coś grosza z zaprzepaszczonej fortuny, uciuła sobie coś tam z trudem przy ociemniałym panu jakiś lokaj — co z tem zrobić? — juścić otworzyć pensjonat. Rozumie się, że nieświadomość, niedołęstwo straciły przytem resztę grosza, zyskując na nic przydatne doświadczenie — spryt jakoś tam z tej kąpieli wybrnął.

Wraz z napływem gości przywędrowały tu, jak ciury za obozem, szukając łatwego z bogacenia się w tym rajku zasłyszonym, różne indywidua, nie mające gdzie indziej „widoków“. Bogata gama „fachów“ — od masażu do architektury. Wnet też działalność ich dała się ocnie obaczyć. Powstały rozmaite Stiele, style, jakich świat nie widział — każda siemieniata kura pomysłów kołtuńskich zdążyła tu już swoje jajko znieść. Takiej zbieraniny ludzi (z jakichś Bezmyślenic), takiej kakofonji budynków, bud raczej, nie mówiąc już o innych ciskających się w oczy potwornościach, w żadnej parafji świata nie spotkasz.

Patrząc po latach na Zakopane zmienione, mówi Witkiewicz z goryczą: „Ani prof. Chałubiński, ani ks.

Stolarczyk, ani Sabała — nie mieliby tu co robić. Dwaj ostatni, ponieważ znikły zupełnie warunki, w których żyć i działać mogli — pierwszy zaś, ponieważ to, co się w Zakopanem stało, jest bezwzględnie innym niż to, o czym mógł marzyć“.

O tych legendowych postaciach — w odniesieniu do dziś — już nie mówić. Jakże w dzisiejszym Zakopanem czułby się sam Witkiewicz, lub ś. p. Dionizy Bek, lub Artur Górski, który tu akademję platońską projektował. (Dialogi platońskie — i jazz-band!)

Widziałem naocznie śmierć dawnego Zakopanego — w takim obrazku:

Ostatni kobziarz zakopiański, Gładcan, czując w kościach śmierć bliską, zeszedł jeszcze z kobzą swą po raz ostatni między ludzi: zagrać im, dawną zbaczyć sławę. Usiadł przed pocztą na ławce — kobzę zgrabiałemi rękami nastroja. Otoczyła go młódź fiakerska, pijana — jeden przez drugiego drze się nad uchem kobziarza nieswoim głosem. Publika powojenna, przechodząc, patrzy z pogardą na to cudowisko: ten i ów, widząc dziada, rzuca mu jakąś monetę. Z pobliskiej kawiarni wydziera się hałaśliwy łomot murzyński jazz-„muzyki“. Opadły ręce kobziarzowi. Zamglonemi oczyma toczy wokół — nie może pojąć: „Cy to ten świat — cy może już tamten...“

— Pocoś, ...„dziadu“ nieczekany, schodził ze swej wyży Gładkiej po raz ostatni ku ludziom? Insze dziś „dzieła“ — insze nuty. Twoje Zakopane zmarło...

A jednak w tem beznadziejnem, zdawałoby się, zatraceniu pięknej kotliny pod Giewontem są smugi pocieszające...

Wzruszyłyby już była wstałych z grobu „swoja“ kompanja wysokogórska.

W zimach ostatnich rozwinął się odradzający sport narciarski.

Są jeszcze górale, pełni ideowej woli przywrotu piękna: — Brzega, Sobczak, Roj Wojciech i Stanisław, Krzeptowskich paru i t. d.

A objęcie kierow. Szkoły Przem. Art. przez Karola Stryjeńskiego i planowana przezeń rozbudowa Zakopanego — to już samo godne optymizm przywrócić.

Są placówki kultury — pierwsze Muzeum im. Chałubińskiego w nowym gmachu, z nieocenionym kustoszem Zborowskim.

Na czele urzędów miejscowych stoją ludzie energiczni, o horyzontach umysłów niewąskich.

Jest paru dzielnych lekarzy, dzielnych profesorów. Jest kolonja malarzy.

Tuż pod Zakopanem, na Harendzie, rozgazdował się na stałe Kasprowicz.*) Na stoku Gubałówki stawia dom dla siebie prof. Romer.

Z dopływającej, obcej fali coraz częściej wyłania się ktoś wartościowy, mający wolę tu osiąść.

Ufać też można, że gdy tych mężów pięknych grono, tu osiadłych, wolę swą ku odrodzie Zakopanego, z rozumieniem głębokiem, obróci, to na pewno na losach tej dziś rozstajnej skupizny i kierunku jej na przyszłość — zaważy.

Oby — gdy znów po latach 20-tu ktoś porówna Zakopane „dzisiejsze z dawniejszem“ — to przyszłe nad obecnem zatriumfowało!

*) Niestety, Duch jeno Jego tam teraz gazduje.

VII.

GÓRALE, LACHY I CEPRY.

Lachami górale nazywają chłopów dólskich, niekoniernie w nizinach mieszkających, lecz ubierających się w górnice konopne, sukmany kroju krakowskiego i ciężkie buty z cholewami — w przeciwieństwie do z owczej wełny przyodziewku i kierpców górali.

Lach, w powiedzeniu górala, jest więc raczej określeniem odmiennego etnicznego typu, a nie jakowąś wrogą lub pogardliwą przezwą. Tę ostatnią stosuje się, i to przeważnie w Zakopanem, do t. zw. półpanów, osobników miejskich, więcej psychicznie niż etnicznie nawet bezrasowych, określając ich jednym słowem: *cepry*.

Mylnie też sądzą bywający pod Tatrami, że wszyscy obcy z poza Podhala, w opinii górala, to *cepry*. Nie nazwie góral *ceprem* pana prawdziwego, inteligenta. Inaczej ma się rzecz z głupim, choćby po pańsku ubranym filistrem. Ten, pozbawiony całkowicie zdolności obrazowego myślenia, nie rozumie ani treści, ani formy innego, zwłaszcza tak odmiennego, jak góralskie, od

swej purchawkowatości życia — i, stykając się lub rozmawiając z góralem, zawdy wyjdzie jako niepodatny lotnej inności, jedno swoje młócający plewy — cep, ceper. To też jeden z gazdów, któremu obmierza już tępość takich panów, zwracając się raz z czemś zawiłem do prawdziwego inteligenta, powiada: „No, wy to pojmiecie, bo-ście chłop. Choć-eście pan, aleście chłop!” (Witkiewicz).

Nie mogą też być dla górala ceprami lachy, naród chłopski, choć obcy, odmienny, ale wyraźny w typie, rasowy. W lackiż to przecie, kmiecia krakowskiego strój odział Wyspiański intuicją genialną króla na grodzie wawelskim. Bo kneziów to strój w kmietach zachowany, gdy miasto modą poszło zagraniczną.

Nigdy nie zapomnę chwili... Bawiąc przed laty pod Sączem, szedłem polami wśród zbóż z Brzezny do Podegrodzia. Święto było — odpust w Podegrodziu — czas przedpołudnia. Naraz wyrósł przede mną z wysokiego żyta na ścieżce cud nie cud — zjawisko. Wysoki, rosły kmiet, w butach palonych, tabaczkowych spodniach, wpuszczonych za cholewy, w opończy też tabaczkowatej, suto na kołnierzu szytej, na ramionach wolno zawieszanej, w koszuli białej, lnianej, w haftowanym bogato żupanie, pasem litym, w węzeł z boku wiązany, przepasany. Niby iście zjawiony kneź dawny, władca ziemi sądeckiej.

W lachach jest rasa, jak w góralach — wyraźność w stroju, w mowie. Pomiędzy nimi zasię jest pas dzielący, zamieszkały przez ludzi nijakich. Chłopi tu chodzą, jak strachy na wróble; boso, w gaciach strzępiastych (wybaczcie), katanczyna na tem wisząca, jak z ojca na

pasterzu, kapelusina na głowie kłapciasta. I nikłe to — od wiatruby się obaliło; strachotnego też ducha; bez typu, bez wyrazu, bez rasy; ni pies ni wydra — jak to mówią. Takiego nic nie zapali, nic nie wzruszy, nic naprawdę nie zgniewa. Kaprawe też ma namiętności. Telo ino współczucia od spotkanych bierze, co chrobak ziemny, bezochronny. — Na mile takie wsi u spadu w załomach podgórze się ciągną. Dużo napotyka się matołków i wolowatych. Nie są to lachy, górale ni cepry, ale poprostu: bieda.

Górale też niekoniecznie muszą w górach mieszkać, jak lachy na nizinach. Sądeckie o lackim typie wciska się daleko w góry — a zaś na równi czarnodunajeckiej najczystszy górale pasą konie. Tyle, że Tatry mają przed oczami.

Jak zakreślić granice góralszczyzny, czyli uświadamiającego się w odrębności swej szerokiego Podhala? — Dużo na zjazdach Podhalan o tem było gwary. Nie pójdę tu za zdaniem mego przyjaciela, dowódcy dywizji podhalańskiej, generała A. Galicy, który granice Podhala przesuwą wraz z przesunięciem oddziałów jego dywizji. Doszlibyśmy bowiem już po Rzeszów i Kołomyję. To mi się widzi trochę przesadzone. Skłaniałbym się raczej do określenia K. Tetmajera, który na głowienie się nasze: pokąd góralszczyzna sięga? — odrzekł poprostu: „Pokąd portki góralskie sięgają...”

I w sedno, mniemam, trafił. Już Witkiewicz podkreślił wagę białych portek. „Bardzo szczególnie jest porządek — mówi — w jakim góral pozbywa się różnych części stroju, bądź bogacąc się, bądź też z jakich innych powodów, jak np. ożenienia się z ceperką,

która chce, żeby wyglądał, jak pan. Naprzód więc znikają kierzce, potem kapelusz, dalej zjawia się pańska koszula, kamizelka, krawat, nareszcie znika cuha, zamieniona na jakiś żakiet; pozostają najwytrwalej, najdłużej — portki. W nich jest szczególna moc obyczajowa i szczególny czar elegancji i piękna. Jak panowie, przebierając się za górali, zaczynają od włożenia cyfrowanych portek, tak dla górala, przebierającego się za pana, ostatnią rzeczą własną, którą z siebie zrzuca, są — portki“.

Zatem portki góralskie określają granice Podhala. Tu nasuwa się ich rozszerzenie łatwe... Naszyćby portek z orawskiego cienkiego sukna w Nowym Targu, naładować na wozy, puścić się poza Podhale i rozdać po drodze za darmo. Ci chodzący w gaciętach strzępiastych z pocałowaniem rękiby je wzięli. Wielu też z lachów, mniemać można, przykloniłyby ku Podhalu pięknie cyfrowane portki. Najbardziej pokojowa, jaką pomyśleć można, aneksja.

Jeno niewiada, czyby na dobre Podhalowi wyszła. Bo choć niby w portkach sens, wydry one w jastrzębia nie zmieniają. Nie mówiąc już o ludziach nijakich, których i tak za dosyć w Podhale przesiąka, lach jest we wszystkim od górala różny. Weźmy np. sposób pracowania obu. Podczas gdy lach powolny pracuje automatycznie, z nieprzerywaniem, miarowo, temperament nerwowy górala ciska go od roboty do roboty szybkiej, gwałtownej, do zapalenia — w przeciągu też dwakroć szybszego czasu skosi, zorze trzy razy tyle, co tamten — a potem siedzi na przyźbie i kurzy fajkę. Wziąć całokształt żywobycia gazdy-górala, jego sposób

urządzenia się, jego zamięłowania, sztukę, światopogląd cały i porównać z życiem kmiecia podkrakowskiego, to różnice wystąpią, jak u członków nie jednej nacji. Typowi, rdzenni, określani doliną Dunajca Podhalanie bliżsi też wydadzą się Słowakom z nad Wagu, niż lachom z pod Krakowa.

Pomnę, jechałem kiedyś z przyjacielem Podhalaninem koleją przez słowacką ziemię do Budapesztu. Gdzieś koło Trenczyna towarzysz mój, obserwujący z okna mijane osiedla, woła do mnie zdumiony:

— Patrz się! Edy my jesce z Podhala nie wyjechali. Takie same obejścia i syćko, jak u nas na Podhalu.

Krewieństwo to — w budowach, sztuce, w obyczaju — Podhala ze Słowacyzną, sięga może daleko wstecz czasów Wielkiego Księstwa Morawskiego — gdy zasię ziemie lackie były pod knezia krakowskiego ręką; stąd ostałaby na Podhalu nazwa sąsiadów od północy: Lachy.

VIII.

WITKIEWICZ I BUDARZE.

Jeśli Witkiewicza ciekawił typ podtatrzańskiego górala, jego przystosowanie do pięknej przyrody, jego zdolność w dziedzinie sztuki i podatność rozwojowa, to specjalnie, jako artysta i wielki budowniczy, musiał zwrócić uwagę na budarzy, tych rodzimych architektów Podhala. Miał też z nimi, odkąd powziął myśl połączenia chałupy z pałacem, wiele przez lata długie do czynienia i przeznał ich, przynajmniej zakopiańskich budarzy, do gruntu. Budował z nimi na miejscu Kolebę, dom na Kozieńcu i inne, wysyłał ich na Wołyń i Litwę, gdzie przyjaciele zachcieli mieć „styl zakopański“ u siebie, pod jego oczyma też robili ów model willi zakopiańskiej na wystawę paryską. — Przypatrzył się więc dobrze ich robocie, znał jej charakter, cechy tak bardzo dodatnie jak i — ujemne.

Wiadomo: góral, przez temperament swój nerwowy pracuje także nerwowo, nierówno; wysili się naraz jak rumak ognisty, by znowu godzinami gwarzyć i kurzyć fajkę; niekiedy przy robocie marudzi, przewłóczy,

a kiedy indziej w krótkim czasie robi pięć razy tyle co np. miarowo pracujący robotnik z dolin. Odnieść to da się przed wszystkimi innymi do budarzy.

„Kto miał sposobność“ — mówi Witkiewicz (w księdze-zamknięciu „Po latach“) — „pracować z góralami przy budowie, ten wie dobrze, jak nierównomierną jest wydajność ich pracy. Niekiedy na budowlanym placu drzemie senność i nuda, siekiery uderzają rzadka, w długich przerwach, szczapy z płaz okrzesywanych odwalają się pomału, wlokąc się za siekierą, ludzie ruszają się wolno i niemrawo — innym razem zdaleka już słyhać huk siekier szybki i gwałtowny, jakgdyby wartko młócono, drzazgi lecą z trzaskiem, a cały zrab budowy dudni dźwięcznie i wesoło od uderzeń siekier i kijani“.

Opowiadał też Witkiewicz, że nie potrzebował na plac budowli zachodzić, by widzieć, jak robota idzie, bo już zdaleka po wygłosie siekier to wiedział. Charakterystyczne — mówił — że gdy w początku tygodnia, po niedzielnym zleniwieniu, szła robota powoli i ze zrębu słyhać było opadanie siekier w zwolnionem, ospałem tempie: raz — raz — raz... (pokazywał na stole dłonią) — to ku niedzieli, zwłaszcza pod wieczór w sobotę, siekiery odzywały się w tempie przyśpieszonym, równem, jak cepy z boiska: raz, dwa, trzy — raz dwa trzy... W sobotę też zwykle dwa razy więcej posunęło się roboty niż w dzień inszy. Powodem tej przyśpieszonej gorączki sobotniej było — według uważania Witkiewicza — to głównie, że góral-budarz, gdy sobota zamykała niejako rozdział jeden, z wrodzonego sobie poczucia estetycznego musiał zostawić na niedzielę

pewne zakończenie dla oka na budowie. Przyszło np. krokwienie. To gdy w dzień inny tygodnia dwie — trzy krokwie stanęły, i było, w sobotę (kiedy padło) musiały być wszystkie wydzwignięte i zwieńczone na święto triumfalną wiechą.

„I ta gwałtowna, szybka robota“ — świadczy Witkiewicz (w wymienionej księdze) — „jest zawsze zręczna, rozważna, celowa i rozumna. Pomyłki zdarzają się rzadko, czas i materiał nie marnuje się na poprawianie tego, co popsuka nierozwaga, nieudolność lub gapiostwo. — Rzecz oczywista, że gdyby temperamentowi górala nie towarzyszyły przy pracy zręczność i inteligencja, rozwaga, celność oka i sprawność ręki, praca ta wydawałaby lichy i bezładny rezultat. Ale nad rozmachem ręki górala panują właśnie te przymioty i dzięki nim, góral, budując bez rusztowań, uczepiony gdzieś końcem kierpca na zrębie, swoją siekierą manewruje tak, jakgdyby miał kilka różnych narzędzi pod ręką. Ociosuje nią płazy do kantu, wydłubuje skomplikowaną więźbę podwójnego węgła, wycina cyfry i „krzyżyki niespodziane“, struże teble, fazuje tragarze i sosręby — wogóle, posługuje się nią tak, jakgdyby ona była zrosnięta z jego zgrabną ręką. Drzewo wychodzi z pod tej ręki ociosane czysto i gładko i takim pozostaje do końca budowy. Chociaż przez te odrzwia rzeźbione i fazowane wnosi się na drągach olbrzymie bale, chociaż przez nie przez pół roku wchodzi i wychodzi codzień kilkunastu albo kilkudziesięciu ludzi, niema na nich rysy, niema obłamanych kantów, dziur i okaleczeń. Na placu budowlanym nie słyhać nigdy klątw, złorzeczeń, pomstowań, poniewierania się; nie widać zamieszania,

bezczelowego miotania się, bezsensownej bieganiny. — Widząc i podziwiając tę sprawność, ład i sens przy budowie wielkiego domu, któryś z architektów przypuszczał, że robota ta prowadzi się przy pomocy szczegółowych planów, przekrojów i t. d. Tak jednak nie jest. Wprawdzie, budując w stylu zakopiańskim, są górale-budarze u siebie w domu i nie potrzebują o nic nikogo pytać, jednak między chałupą o dwóch izbach, a piętrowym domem o kilkunastu pokojach jest taka różnica, że mniej inteligentny robotnik nie dałby sobie z tem rady — oni dają. Budują największe domy według szkiców na kratkowanym papierze o skali 5 mm na metr, bez żadnych przekrojów i szczegółowych rysunków — radząc się czasem, lecz pojmując wlot lada uwagę“.

Raz nawet stanął zakład między Witkiewiczem, a jednym z architektów, który widział narysowane przezeń fragmenty tylko planu mającej się budować willi: czy dadzą sobie radę z tem prości budarze? No i Witkiewicz, jak zgóry był pewny, dzięki onym budarzom zakład wygrał.

Można bez dowodu wiedzieć, znając naturę Witkiewicza, że między nim, jako kierownikiem budowl i a budarzami była harmonja trwała. Raz tylko zaszło nieporozumienie, które on cudownem znanstwem dusz prostych umiał ku lepszej jeszcze pogodzie obrócić.

Było to przy budowie willi „Obrochtówka“. Rzecz poszła o schody, których ustawienie, z przyczyny ciasnej jak i ciemnej klatki, sprawiało trudność nielada. Witkiewicz, zdaje się, sam rzeczy we wskazaniach planu nie zwyraźnił — budarze też ustawili pion schodów

podług swej uwagi. I o to się poczęło. — Witkiewicz sam tak o tem później opowiadał :

— Przychodzę na budowę. Widzę: pion schodów nie podług mej myśli. Wzywam majstra-budarza i powiadam : „Te schody nie tak mają stać, ba tak a tak“ — wskazuję. Tłumaczę przytem najzrozumialej jak mogę, czemu tak ma być, jak mówię, a nie tak, jak im się widzi. „Poprawcie to zaraz — mówię — cobych, jak jutro przyjdę, zastał schody tak, jak mają być“. Nic na to nie odrzekli. Przychodzę nazajutrz — patrzę — schody niepoprawione. Wzywam znów majstra, przedkładam, ale już surowiej, i przykazuję, cobych jutro, jak się na budowie zjawię, schody już zastał poprawione. Ba — przychodzę nazajutrz — patrzę — w schodach nie widzę odmiany. Nieruszone. Widać zacięli się przy swoim.

Wołam tedy majstra i z pozorem ozeżenia, jakiego we mnie niemasz, powsiadam nań ostro z góry : „To wy sie — mówię — za majstra niesiecie, a rzeczy takiej prostej ni możecie zrozumieć?... Dyć jakbych to wyłożył prostemu chłopu nie cieśli, co rąbanicę w garzci trzymie, toby wnet pojął — a wy?!...“ I w tym sensie holofię na niego. „Zapowiadam : coby mi to na jutro, jak przyjdę, było zrobione“. Nazajutrz przychodzę — patrzę : — jest tak, jako mówiłem. Dobrze. Ale widzę: na moje „Szczęść Boże“ ktoś tam jeno z budarzy coś mruknął — zajęty niby każdy pilnie swoją pracą — kapelusze pospochylali na oczy — rzekomo nie widzą mnie: źli. Bedziesz tu z nimi nadal robotę prowadził! Trza końcem jakiegoś wyjścia...

— No widzicie — powiadam. — Tak, jako mówiłem, miało być, i teraz jest dobrze. Ale tu jesce jednego brak...

Pojrzeli na mnie wrogo.

— Coz ta jesce chybia? — warknął któryś.

— Tu, w tem miejscu — wskazuję na schody — ma być wycięty krzyżyk niespodziany, bo tu djabeł między nas wstąpił.

W ocymgnienu rozpogodziły się twarze — ulga w zacięte serca weszła — cała kłótnia na djabła zegnana — i koniec już niezgody. Harmonja poprzednia zapanowała znowu między nami.

Ale to tylko Witkiewicz, głęboki znawca dusz chłopskich, tak sobie z budarzami umiał poradzić.

IX.

ZAKOPANE NA ZWROTNICY.

W żywotach świętych czytamy o św. Pafnucym, Słupniku. Ironizuje postać tę mnicha-anachorety Anatol France w powieści swej p. t. „Tais“, gdzie pisze, jako mnich ów, ścigany cielesnemi pokusami czarta, spotkawszy wśród ruin dawnej świątyni pogańskiej słup, osobno stojący, wylazł na ciemię onego i, w nadziei, że go tu już szatan nie dosięgnie, postanowił na onej kolumnie, nie schodząc z niej, w modłach a trwaniu w spiece słońca reszty żywota dokonać. Zwiedziały się wnet pobożne niewiasty o świątobliwym mężu i w rozlicznych niedolach swych poczęły się doń, po dar jego modłów skutecznych, udawać. Przychodziły z zapaleniami oczu, z gorączkami, pocierały bezpłodne łona o słup, na którym święty mąż stał, aby błogosławieństwo rodzenia uzyskać, i odchodziły pocieszone. A gdy wieści o cudach doznanych rozeszły się szeroko, poczęły z dalekich stron, pojedynką i w orszakach, ścigać rzesze pielgrzymie do cudotwórczej oazy. Przyjeżdżały z pustyni na postrojonych wielbłądach w oto-

czeniu licznej służby damy bogate; a że wypoczywać strudżonym lub nocować padło, rozbijano na polu otwartem namioty; niebawem obóz tłumny rozwinął się na placu przestronnym naokół słupa. W następstwie czego pojawili się roznosiciele „świeżej wody“, przekupnie pomarańcz, powstały budki z owocami i rzeźwiącemi napojami, wyrósł też wprost naprzeciw słupa szynk „Pod św. Pafnucym“. Zaczem pobudowano domy noclegowe — balwierze, krawcy, handlarze olejków, tkanin pozakładali w uliczkach wstałych swoje kramy, jęły się wznosić budowle — rosło naokół miasto z hotelami, z salami tańców, z domami pokątnych uciech, ze wszystkim, co zwyczajnie skupisko ludzkie przynosi. A świątobliwy Słupnik tkwił wciąż na swoim słupie.

Otóż wyobraźmy sobie na miejscu dzisiejszego Zakopanego pustynną kotlinę, na której nic, prócz kęp skalistych, młak i smreków, niema — jeno na wydmie, gdzie dziś rynek, słup granitowy stoi (na którym tkwi obecnie Jagiełło), a na onym zaś słupie np. dr. Mischke, Słupnik. Dzicy pasterze Tatr, czarnym obrośnięci włosom (jak mówi encyklopedysta nasz, sławny ks. Chmielowski w dziele swem, wszelkiej sciencji pełnem, p. t. „Ateny polskie“), zwiedziawszy się o owym świątobliwym mężu, jęli przychodzić doń z różnemi bólami swemi: z żągniowaniem uroków, to rwaniem zębów, a upodobawszy sobie miejsce, pobudowali w kotlinie szałas, gdzie, ocyrkłowawszy nadzieją dowolne skałek, poczęli się osiedlać. Wnet dookoła Słupnika zagęściły się osiedla ludzkie: wieś się zrobiła. Tedy za natchnieniem onego męża bożego jednomyślnym plebiscytem uchwalono postawić karczmę pośrodku na zbieży dróg (gdzie dzisiaj

Kulig) i ochrzczono ją wdzięcznie „Pod Słupnikiem“. Pierwszy to krok do cywilizacji.

Gdzie są ludzie, tam ciągną lekarze, a za lekarzami znowu goście. Osobny ten gatunek ludzi spłynął do cichej kotliny, jedną dotąd karczmą się obywającej. Okazał się brak mieszkań. Czyniono więc przybudówki, wyzyskując sienie, strychy, każdy kąt, gdzieby gościa drogiego umieścić; przekształcano swoiste szałas, wybijając dziury w dachach, na mniej dogodne wille; lub też sami już goście, którzy widzieli świat, szwajcarskie sobie budowali schrony.

Poczęły się domy szerzyć — jęły wynikać piętra na poddaszach — dwie nowe karczmy wstały i kawiarnia.

Tedy to nasz nowoczesny Słupnik, zgorszony nad miarę, wołą wćwiczoną na Jodze, wzniósł się w sobie i wcielił się w leżący nad kotliną Giewont. Odtąd czołem tkwi w gwiazdach.

A równocześnie też, logiką rzeczy, karczmę pierwszą, zwaną „Pod Słupnikiem“, rozrosła w piętrowy hotel, przewano „Pod Giewontem“. I rozwój dalej szedł. Wzdłuż drogi dawnych osiedli jęli przybysze wznosić domy, wykupywać place, a potomków pasterzy cofać z frontu głównej arterji, przy której wnet wynikły sklepy, fryzjernie, jatki — rodziły się sławne dziś Krupówki. Wieś przechodziła w miasto.

Na opuszczonej pośrodku kolumnie stawali różnymi czasy samotnością pośród ludzi święci: Chałubiński, Stolarczyk, Witkiewicz — by kazać rzeszom o pięknie i świętości życia — Sabała też znużony, z gęślikami pod kolumną spoczął, a miasto dalej rosło. Powyty-

czano ulice, wynikały naokół wille, jak grzyby w słotne lato, o imionach sentymentalno-pamiątkowych (Zochna, Lola, Dzitka) lub bohaterów narodowych (Jarema, Jurand, Kmicic i t. d.). Uświadomienie kotliny wzrastało. Dla podkreślenia łączności onej ze stolicą nazwano jedną z ulic Marszałkowską, inną zaś, dla łączności z państwem, Jagiellońską. Głowę też imitacji z Jagiełły zatknięto na wolnym słupie. Tedy, dla zadokumentowania ogólnonarodowego charakteru rosnącego miasta, pojawili się: Mangel, Kohan, Holländer i inni „tubylcy“, jako też ich sympatycy: Birtus, Krzyżak, Skibiński i t. d. Napływać jęli różni fachowi partacze, tworząc dla okrągłości stan rękodzielniczy. Rosły podgiewontowe Myślenice, ślebodnie, szybko, w oczach pokolenia. Górale też, potomkowie owych to dzikich pasterzy, jęli na wzór will widzianych stawiać po brzegach, urwiskach przewiewne domki stylowe. A wszystko to dla mitycznej osoby, dla gościa. Aliści zjawił się mąż dziki, o szeroko pojętym altruizmie i, aby udogodzić słabszym kuracjuszom wycieczki, założył na Krupówkach — nie jakieś płynne, ale murowane — z przystanią schronną Morskie Oko. Znaleźli się naśladowcy — murowanice piętrowe jęły się dźwigać. Duma krupowian rosła. Wille drewniane, jako wobec wieczności znikome, zaczęto mieć w pogardzie. Każdy też z gości, mający plac budowlany, przywoził swego architekta z Pińska, z Radomia, Stryja lub zgoła ze Lwowa i dawał genjuszowi jego wolne pole. Powstały więc ślebodne budowle, o nakryciu głów przeróżnem, to bokiem, to wskos ku sobie patrzące. Ambicje budowlane jęły się podnosić. Powstały spółki akcyjne, o rzucie amerykańskim, mające w planie za-

murować drapaczami Bystre, Antałówkę, wszystkie siedem wzgórz, otaczających kotlinę. Miała powstać nowa Roma, o większem bogactwie stylów.

W pewnym czasie stanęło przed decydującymi mężami zagadnienie: dla kogo ma być Zakopane? Dla chorych — czy dla artystów — czy też dla narciarzy?... Lekarze głosowali za chorymi, lecz z pewnym wyjątkiem. Np. nieoceniony dr. Marcin, gdy zastępował raz dra Janiszewskiego w jednym z pensjonatów u pacjenta-suchotnika, a ten doń z rozżaleniem: „Panie doktorze“, — mówi — „ja tu już parę miesięcy siedzę, a nie czuję polepszenia“; na to ów pocieszająco: „Mój panie drogi, znam ludzi, co nie miesiące, ale lata całe tu siedzieli, a nic się im nie polepszyło, ba, jeszcze gorzej się czuli; trza mieć, mój panie, końskie zdrowie, żeby Zakopane wytrzymać“. Tego zdania zapewne jest też klimatyka, zakazując wstępu chorym do pensjonatów.

W podobnym losie są też i artyści. Klimat Zakopanego im nie służy. Trza mieć — mówiąc słowy dra Marcina — końskie siły, żeby tu móc tworzyć. Atmosfera trzaskowo-tatrzańska zgoła im nie służy. Którzy tu trwale się przyjęli, dowodnym powyższej tezy są przykładem.

Pozostaliby narciarze; naród na atmosferę odporny, krzykliwy, mogący chodzić również dobrze na nogach jak i na głowie. Ba, lecz zima ostatnia pokazała, że niebo ich bojkotuje; podhalańscy święci nie są też ich patronami.

Gdyby z całych Tatr śnieg zgarnęli, nie wiem, czyby wystarczył na jedną odskocznnię. Muszą innych Himalajów szukać.

Więc zostaje jedyny, najmilszy zresztą dla Zakopanego nieokreślony w zawodzie gość, taki, który płaci.

Czasy powojenne, czasy wszechmożnego paska, czasy powszednich milionów, przy trudnościach paszportowo-granicznych, ściągnęły onego gościa do kotliny Podtatrza w mnogiej liczbie — iż dał się odczuć głód mieszkań, a sprawa nowych bóżnic, drapaczy, bristolów, stała się pilno aktualną.

Był to sezon bogacenia się, nadziei, widoków i obdzierania w pełnem słońcu lichwiarza-bliźniego. Lecz trwał niestety krótko. Nadszedł czas skromnego „złotego“, przy otworzeniu płotów zagranicę. Odkrył ktoś, że Riviera tyle samo kosztuje, co Krupówki. Więc Moznobyłscy tam wołają wykwitać lub w innych badach rujnować swoje cenne zdrowie, a przywiązane do orki wiecznej zdiadziałe inteligenty muszą po pół procent z pensji głodowej odkładać na bliską trumnę. Czasem się tam ten i ów lekkomyślniejszy na parę dni w „stolicy letniej“ zawadzi — lecz trudno golić goliznę.

Zmienił się nastrój pod Giewontem. Nawet tak zawdy ochocze pogotowie ratunkowe posmętniało. Dawniej, przy większej liczbie, i to przedsiębiorczych gości, zawdy spory procent był spadających z Nosala, z Giewontu, łamiących ręce i nogi — był ruch, sensacja, radość — a teraz miesiące trza przy nudzie wiejącej zewsząd na werandzie Trzaski wyczekiwać, zanim jakiś zaginiony idjota kapnie.

Pustka nastąpiła. Są wille, pensjonaty, rękodzielnie, sklepy, chodniki z przeskoczniami, jest szpital jak wymarzony — jest sławna studnia cudownego dra Gabryszewskiego (widział ją sam minister zdrowia!), gdzie

pod opieką jego, a przy poparciu gminy bakcyle tyfusu jako pstrążki młode się hodują. Są atrakcje różne — jeno gości niema. Najczęściej tu widywany, to egzekutor podatkowy.

Napróżno Fr. Trzaska sprowadził z Bielska czy Katowic grającego na trąbie, pile, mandolinistę i prawdziwego murzyna — dochód z owych sensacyj nie wystarczył na pokrycie nowej klatki wchodowej i na ofiary „dobrowolne“ na cele dobroczynne. Napróżno najmniej tatrzańska kawiarnia sprowadziła fikające nóżkami pod sufit angielski z Drohobycza — nawet ostatnie grające w bridża „stammgasty“ do Karpia się przeniosły. Napróżno też przemyślny zięć Dzikiewicza porobił wiele mówiące dla gości przytulnie — dochód nie pokrył tapicera. I napróżno gremjum pensjonatowe porozlepiało na wszystkich stacjach afisze: że w Zakopanem śniegu zwały, mieszkania i jedzenie obfite za durno — — gości to nie zwabiło.

— — — — —

Lecz dość żartów, choć w nich zwykle smutna mieści się prawda. Trza położeniu poważniej spojrzeć w oczy: a niemyślących najłacniej śmiechem zastanowić. Zakopane wzrosło, niby dokoła Słupnika, przypadkowo. Ta przypadkowość, bezplanowość ma zamiar trwać dalej. A jeżeli trwać będzie — to upadek Zakopanego oczywisty. Konkurencję nieodpartą stworzy zagranica i uzdrowiska czeskie po tamtej stronie Tatr. Zakopane, chcąc żyć — musi wstąpić na drogę sensową rozwoju. Musi zdać sobie sprawę z siebie: poco jest i czemu ma służyć. Obecnie stoi na zwrotnicy: albo — albo...

X.

O DWÓCH MUZEACH W ZAKOPANEM.

Niewielom zapewne wiadno—boć i ja, choć od lat dwudziestu paru pod Tatrami bywam, dopiero tej zimy ostatniej przypadkiem się dowiedziałem — iż w Zakopanem mamy dwa muzea: jedno znane ogółowi, im. Chałubińskiego przy Krupówkach, drugie — odkryjmy odrazu — muzeum Jana Kołtuna przy ul. Chałubińskiego.

Pierwsze, jak wiadomo, mieści się w gmachu muryowanym, który ś. p. Witkiewicz projektował, a gorliwi wykonawcy, jako inteligentni zecerzy autora, podług inwencji własnej poprawili; i gdyby byli, nie krępując się niepotrzebnie planem, dalej w swobodzie wykonania poszli, gmach wyglądałby bardziej swojsko i monumentalniej, jak np., tyle przez obcych podziwiany, akropol-hotel Stamary. „Cudze chwalicie, swego nie znacie — sami nie wiecie, co posiadacie“ — jak powiada jeden z wybitnych poetów hiszpańskich (V. Pol).

Zbiory muzealne zajmują w gmachu tym dwie duże sale, na parterze i pierwszym piętrze. Resztę gmachu

wypełniają: kancelarja muzeum, pokoik kustosza, pokoje numerowane dla uczonych i sala luźna, o której poniżej.

Odświeżmy sobie w pamięci one zebrane w muzeum przedmioty. Zacznijmy skraja, z parteru. Jest tam więc chałupa góralska w całej wielkości — izba biała i czarna, ze sienią. Ale to ino napokaz. Wynając ani sprzedać nie chcą. Są też sprzęty zwyczajne: stoły, stołki, łyżniki, półeczki — jakby my tego w każdej opodalniejszej, zacofanej wsi, w Cichem abo w Ratułowie, nie widzieli. Są i obrazy na śkle, staroświeckie cudaki, których wikarzy gorliwi, chodząc po kolędzie, nie zdołali po chałupach dotłuc. Jest strój zbójnicki (niema się czem chwalić) i co do tego powołania przynależy: flinty, pistolce, noże zakrzywione, tomahawki... Jest wszystek sprzęt z bacówki: galety, skopce, mody na serki i t. d., ino sera ni żentycy niema. Są gęśle, basy, trombity, fujarki, na których nikt już dziś nie grywa; jest przystrój chłopski: cuha, pas, spinki i t. d., jako i przyodziew babska: suknie lisem podbite, czepce, rańtuchy, kantanki, w których nikt teraz nie chodzi; jest też dużo na pamiątkę zawieszonych kaganków żelaznych po nieboszczykach hawiarzach kuźnickich. Są jeszcze modele chałup, juści chyba jako zabawki dla dzieci, nie dla budarzy, bo ci, jak wiadomo, modele w głowie mają.

W sali na piętrze najduje się zbiór rozmaitych skałek, przez różnych pilnych emerytów na ich trudnych wycieczkach do dolin skrzętnie z wysiłkiem nazbieranych, a przez śpasobliwych geologów, jak znanego dramaturga M. Limanowskiego i socjologa W. Kuźniara, w gablotach jak co ważnego poumieszczanych i to z odnośniami na kartkach napisami, aby Bogu ducha win-

nego zwiedzacza w błąd wprowadzić. — Jest też zbiór skamienielin; wśród tych sławne, znane nawet panu prezydentowi*) baranie rogi, gdyż o nie, zwiedzając muzeum, raczył na wstępie zapytać.

W sali tej na osobnym stole piętrzy się mapa plastyczna Tatr, którą ponoć śmiały nasz lotnik i odkrywca, major Lorja, przed zamierzoną podróżą na biegun, z góry z aeroplanu modelował.

Są tam jeszcze wypchane zwierzęta i ptaki. By prawdę rzec, żaden leśniczy-amator nie ma takiej kolekcji. Prócz pospolitych: zajęcy, lisów, kun, łasic, borsuków, jest niedźwiedź, przez samego Kornilowicza schwytyany; a z ptaków rzuca się w oczy prawdziwy sęp. Wiadomo, sępów w Tatrach niema. Ten przyleciał z Kaukazu. I według protokołu, gdy go od kogoś z raubszyców nabywszy patroszono, znaleziono w żołądku jego ludzkie oko. Jest to więc ów historyczny sęp, który się karmił wątrobą Prometeusza; a gdy tej nie stało, rzucił się mu do oczu. Dlaczego tu na oko i na dłoń raubszyca przyszedł, jest to tajemnicą bogów, której dociekać nie myślę (mam już i tak swojego sępa).

Jak widzimy, ciekawe nawet rzeczy znajdują się w onem muzeum przy Krupówkach, ale całe bezpożyteczne. Jest wprawdzie sala na II piętrze, luźna, przeznaczona na dział współczesny. Lecz może lepiej tak ją już luźną pozostawić, zaufawszy wyobraźni zwiedzających, niż gromadzić „eksponaty“, które i tak nie dojdą bogactwa, jakie widzimy u Komendzińskiej, Zończyka i t. p. pionierów zakopiańskiego przemysłu. Przytem nieporozumienie małe: współczesności niema. Trzebaby tęgi

*) St. Wojciechowskiemu.

w przyszłość uczynić skok albo biec paralelnie pędem obok czasu, aby być choć przez moment współ z czasem.

Tego wszystkiego, co powyżej przytoczone i co ma jeszcze być, strzeże i doziera z oddaniem, godnem lepszej sprawy, młody wyjątkowo kustosz, drobnej wielkości, co nie jest wcale aluzją do jego doświadczonego umysłu. Próbował on w swych latach chłopięcych różnych zawodów; był profesorem-polonistą, zbieraczem wałków śpiewających, etnografem, bezpłatnym redaktorem, korespondentem ideowym, ba nawet człowiekiem wolnym — aż zaszedł do muzeum rzeczzonego i Duch Św. go natchnął, że ma być tych oto właśnie rzeczy kustoszem. I tak gorliwie — w czasach wszelkich możliwości, gdy mógł zostać przynajmniej sekretarzem jakiejś ambasady — jął się tego, nie mającego żadnych widoków, powołania, iż rodzina hofratska poważne już sędziwemi głowy czyniła nad nim i czyni kiwania. Nic to jego przyrodzonego humoru nie psowa. — Zato muzeum ukochane odpłaca się mu wdzięcznością. Gdy wejdzie krokiem tanecznym do którejś z sal, dyga mu zalotnie i zdaje się figury jego uzupełniać stojąca koło szafy, bogato ubrana mieszcza z XVII wieku; zbójnik kłania się czapą, strojne modele się prężą, zwierzęta wypchane przyjmują wdzięczne pozy, ba, nawet sęp (lecz cyt — on też musi mieć swojego sępa).

Poza tem ma, zależnie od pory roku, różne urozmaicenia. Latem zdawać się może kustoszowi, że hotel-pensjon prowadzi. Bo istnie muzeum pod ten czas zaludnia się jak hotel. Nie, żeby taki napływ zwiedzających, broń Boże. Lecz z całej, jak szeroka, Rzeczypo-

spolitej zjeżdżają się tam uczone profesory, — a że to mieszkań w sezonie w Zakopanem brak — zajmują numerowane pokoje w muzeum, kancelarję, pokój kustosza, strychy, nawet w holu wchodowym na dole mieściliby się, gdyby nie groźny Sabała Nalborczyka, który obtłuczonymi palcami wyraźnie drzwi wskazuje. Odbywają się dysputy, konferencje uczone, wspólna poobiednia kawa w sali muzealnej, która przybiera wygląd — że to zawdy muzeum kostnicą czuć — dawnej „cukierni warszawskiej“. Kustosz jest jak w ukropie. Biega, tańczy, drga.

Zato zimą, która tu całych 10 miesięcy trwa, muzeum ostawione samemu kustoszowi, mającemu teraz czas na refleksje. Za dwa miesiące używania — dziesięć miesięcy hereštu. Z załośliwym uśmiechem to znosi, pocieszając się: wróci lato, wrócą piękne dni aragniezu.

Naturalną rzeczą: zimą muzeum się nie opala, aby się zbiory, naprzykład skalpele, zdjęte przez zbójników z czaszek panów węgierskich, nie zepsowały. Nie opala się też mieszkania kustosza, jak i kancelarji. To już z troskliwości o niego (któżby go zastąpił!), aby się, wchodząc do zimnych sal muzealnych z ogrzanego pokoju, nie zaziębił. Z troskliwości czystej, nie z braku funduszków. Fundusze — przesąd. Serce, ofiara — grunt.

Rząd wychodzi zresztą ze słusznej uwagi, że muzeum-hotel, który tyle numerów latem odnajmuje, powinien się opłacać. A gdyby co — to jest społeczeństwo. Społeczeństwo zaś, zakopiańskie zwłaszcza, ma — powiedzmy otwarcie — w wyjątkowej pieczy Muzeum Tatrzańskie. Oto naprzykład, gdy zarząd muzeum pisałą

tylko, że pieniędzy brak, w te pędy poszły osoby wymowne do znanych z ofiarności zakopiańskich kupców, do filantropijnego wysoce gremjum, i zebrano znaczną — jak na obecne ciężkie czasy — sumę, którą kustosz muzeum dumnie wręczył listonoszowi, gdy ów ironista przyszedł doń z życzeniami noworocznymi.

W ciągu więc tej dziesięcio- a czasem półjedenastomiesięcznej naszej cudnej podhalańskiej zimy urozmaica sobie kustosz, jak może, swój samotny, monotony żywot. Gdy srogie mrozy chwycą, jak tej zimy, przenosi się z pokoju swego nieopalanego do również nieopalanej kancelarji. Lecz tam przynajmniej jest się czem przyodziać na noc. Na nogi zwala wszystkie roczniki Tow. Tatrzańskiego — biodra szczelnie otulają czasopisma krajoznawcze — piersi z głową nakrywa tekami rysunkowemi strojów ludowych, wybierając przemyślnie te, w których wiernie przedstawione są kożuchy, gunie, sukmany, słowem solidna przyodziew. A tak pod onym przygniotem, zwinięty w kłębek, wyobraźnią etnograficzną zagrzany, zasypia czasem nad ranem. I miewa rozkoszne sny. Śni mu się np. bardzo długi film o Janosiku, upaja się, rozmarza, jak dobry, wdzięczny, wszystkiemu życzliwy: ma wrażenie, że jest w ciepłym kinie. Albo znowu śni mu się, że jest Dzikiewiczem; wszystkie pokoje na piętrach zajęte, a w sali na dole, zamiast gratów muzealnych, ścisk przy stolikach, hałas, kelnerzy nadążyć wołaniom nie mogą; wszystko to głuszy i przenika jazz-band, kwiczą i tańczą murzyni, to pokazuje się przed wyjazdem do Warszawy — clou wieczoru — ostatnia z Tatr Mohikaner-Truppe, z Józkiem Bukowianem i Maryną Mocarną na czele.

Lecz mirażu snu pierzchają. Kustosz, budząc się, wraca do rzeczywistości. Południe się przybliża. Zdecydowanym ruchem strąca z siebie kożuchy etnograficzne, zeskakuje na lód podłogi, pluska się w zamarłej wodzie, wciąga na się krótkie niezapominajki, kurtkę, serdaczek z rękawy — jest już gotów, wychodzi. Przedewszystkiem obowiązek. Uchyła drzwi do sali muzeum — wionęło nań powietrze lodowe, nasiąkłe nafaliną. Zatrząskuje więc podwoje mrozu i śpiesznym krokiem, jakby to było nieodparcie przez głos wewnętrzny wskazane, udaje się na pobliską, gościnnie zapraszającą, a przedewszystkiem ogrzaną werandę Trzaski. Przez roztargnienie połyka x ciastek, jak również przez roztargnienie obiadu nieraz nie je. Ogrzawszy się „od nuka“, zaciera radośnie dłonie i uśmiecha się do słońka melancholijnie.

Przez szyby werandy Trzaski widać ruch uliczny. Wije się film: „Zakopane w zimie“. Sanki — saneczki — pani w spodniach — poseł z prawicy — policja na narciach — były minister rolnictwa — dwie siumne zakopianki — woźny magistracki — listonosz — sanki z pociągu — gęby nowe — poseł z lewicy — Korona — narciarz w ubraniu cyrkowem — panna z Łodzi — prezes Klimatyki — Pęksa — profesor gimnazjalny — znów pani w spodniach — dwóch górali — znany architekt — znany lekarz — narciarz w zielonej pończosze na głowie — młody poeta warszawski — stary góral...

Żadna jednak z zaokiennych postaci filmowych nie zwraca tak powszechnej uwagi werandy, jak przechodzący oto człowiek: o szarej, niezbadanej twarzy,

w długim, nieokreślonym kolorze kozuchu, sznurkiem zielonym przepasany, z dwoma parasolami pod pachą i w meloniku brązowym na głowie. Wiedno odrazu: człowiek boży. We własnej to osobie Jan Kołtun, twórca muzeum swojego imienia. Nazwisko tu — nieporozumienie. Wielu jest kołtunów — że pominiemy znane imiona — w Zakopanem, ale ów chyba jest nim najmniej. Trudno — ostanie Kołtunem, a prawdziwe kołtuny jeszcze drwić z niego będą. Taka to już ustanova rzeczy.

Muzeum jego, Kołtuna, mieści się (co za zbieg ciekawy) przy ulicy Chałubińskiego, w mniej imponującym, niż omawiane powyżej, ale zato bardziej do miejscowego porządku zastosowanym budynku, o jednym szczycie ściętym — ze słońcem, parzenicą i lelują przewiewną pośrodku — drugim zasię wdzięcznie, jak skrzydło fantazyjne kapelusza, opuszczonym ku ziemi. Z zewnątrz pojrzawszy, ktośby mógł rzec: szopa. I sądziłby, że już rzecz określił. Ba, szopa... A cóż może być w szopie? „Deus et omnia“ — jak mówi Przybyszewski. W szopie Paniezus się rodził. W szopie na sianie — nie chcę zresztą mnożyć przykładów, by nie odejść od rzeczy. W *tej* szopie, o której mowa, niema siana, ani osła — jest muzeum Kołtuna. Wstęp wolny. Każdego, gdy do wnętrza wejdzie, uderzyć musi na wstępie co najmniej zdumienie. Uderzy go też zaraz niesłychane bogactwo przedmiotów, umiejętnie po ścianach, na ziemi i po kątach rozłożonych. Jest tu istotnie więcej, niż fantazja może nawieść. Są więc: ramy zniszczone z obrazów, obrazy bez ram (przeważnie z ilustracji rzadkich jak „Nowości“), szyszki od zega-

rów, puszki z konserw, igły do prymusów, bogaty zbiór kluczyw różnej wielkości, zbiór kopert adresowanych, olbrzymie sterty afiszów (na których można się uczyć poglądowo historii kultury), kawałki blach, przeróżne żelaziwo, obręcze z beczek (nawodzące myśl filozoficzną, iż rdza wszystko przeżera), taczki bez kół, wyszczerbione łopaty, kawałki desek, zbiór pudełek, lichtarze pogięte, kolekcja starych parasoli i kolekcja osobliwa: uszy od butów, kunsztownie na sznurek nanizane, stare wózki dziecinne, nogi od stołków, różne części lamp, flaszki próżne, brytwany przepalone, garnki dziurawe, słoiki, naczynia nocne nadtłuczone i t. d. i t. d. Nie zliczyćby wszystkiego.

Przez lata Kołtun to gromadził. Wszystko, co ludzie zwykli wyrzucać lub, wyjeżdżając, zostawiać za sobą, jest tu skrzętnie zebrane i posegregowane. Jak widzimy, w przeciwieństwie do martwych zbiorów muzeum omawianego przy Krupówkach, są w muzeum Kołtuna rzeczy żywe, mogące mieć każdego czasu i w każdej niemal dziedzinie ludzkich potrzeb zastosowanie. Jan Kołtun też nie marynuje tych rzeczy, lecz wymienia lub chętnym sprzedaje. Ceny przystępne. I transakcje się czynią. Potrzebuje np. ślusarz klucza, szewc uszów do obuwia — do muzeum Kołtuna! Tam wszystko jest, czego kto zapragnie.

I Kołtunowi onemu wcale dobrze się powodzi. Potrzeb ma mało. Wszystko też sam sobie stwarza. Sam sobie robi obuwie, t. j. uplecie na nogach postoły, które się nie zdejmą, aż się zedrą. Sypia w muzeum swoim — latem, zimą — wysoko na pryczy przy swych zbiorach. Nie jest sam. Bo oto chowa sobie myszkę,

która co rano przychodzi doń na pryczę, po swoją część okruszyn.

Jak przeciwieństwem jest muzeum żywe Kołtuna — muzeum-cmentarza przy Krupówkach, tak też z natury rzeczy i kustoszowie tychże muszą być sobie przeciwni. Kołtun jest, jak się już rzekło, człek boży, który jednak, jak widzimy, wcale praktycznie się urządził; a kustosz zasię tamtego muzeum jest człek — niema co kryć — świecki, który znów nadto po bożemu żyje. Jako ptakowie niebiescy, którzy... Jednak czasem — gdy w optymizm skowronkowy melancholja się wkradnie, a bywa to w środku zimy, kiedy nawet etnograficzne kozuchy nie grzeją — w skrytości serca westchnie z żalem, że nie jest choćby małą myszką, nietroskliwy przy muzeum rentownem żywot prowadzącą, myszką Kołtuna.

XI.

ZAKOPIANIE DZISIEJSI.

O zakopianach dawnych, nim się jeszcze na czoło Podhala wybili, najpochlebniejsze mamy relacje pierwszych w te strony podróżników. *Staszic* podziwia ich rzadkie formy towarzyskie, *Goszczyński* olśniony jest ich romantycznością, *Pola* znów zachwycają ich fizyczne przymioty. — Jeszcze w połowie drugiej wieku ubiegłego *Chałubiński* i współtowarzysze jego, ci właściwi pionierzy podgiewontowej kotliny, najwyższe znajdują uznanie dla zastanych tu, dziś legendarnych już, postaci gazdów. „My wszyscy“ — pisze *Stanisław Witkiewicz* — „którzyśmy tu zetknęli się ze starem pokoleniem górali, zdumiewaliśmy się wytwornością ich obyczajową, pojemnością inteligencji, świetnem formułowaniem myśli, całym splotem najcenniejszych przymiotów umysłu i obyczaju“. I dalej charakteryzuje: „Ścisłość obserwacji, łatwość zestawiania i porównywania zjawisk, trzeźwość, jasność i logika wnioskowania, subtelność i ścisłość formułowania pojęć, dokładność w użyciu wyrazów, ciągle przytem czujna rozwaga, są znamienymi cechami umy-

słowości górala. Współczynnikami psycho-fizjologicznymi tej umysłowości są: nadzwyczajnej dzielności i pobudliwości system nerwowy, wielka wrażliwość, silna lecz lotna, krótkotrwała uczuciowość, która tylko w chwili ostatecznego afektu, do szaleństwa, niszczy kontrolującą czynność rozważań“.

Archaiczne formy życia dawniejszych górali (pasterstwo, myślistwo i t. d.) zachowały jeszcze były żywiczność wrodzoną umysłów i pierwotne, nietknięte zarazą wiatru cywilizacyjnego obyczaje. Lecz ze zmianą warunków bytu zmienili się też i ludzie; giętkość inteligencji przeszła w jarmarku nadniesionych stosunków w spryt kupiecki, rozluźniły się rodzinne więzby obyczaju, charaktery w prześlizgach nowotnego życia podupadły.

To też Witkiewicz znacznie mniej dodatnio wyraża się o zakopianach po latach 20-tu, gdy w oczach jego wyrosło młode pokolenie. „Góral“ — mówi — „grzecznym jest z natury; prowadzi to z jednej strony do ułatwienia współżycia, lecz z drugiej strony, przy pewnych warunkach, prowadzi do braku cywilnej odwagi, do braku charakteru. Jeżeli polityka jest środkiem symulowania myśli, chęci i celów, środkiem wykrętnego uchylania się od zdradzania swoich istotnych zamiarów, jeżeli jest unikaniem jasnego i otwartego stawiania swego stosunku do innych ludzi — w takim razie góral jest politykiem do ostatniego włókienka. W pewnych warunkach ta zdolność hamowania się, otamowywania afektu, ta rozważa i ta możność bycia grzecznym: bądź co bądź, mogłyby się stać cennymi przymiotami w życiu społecznym, ale nato trzeba, żeby był czas i możność

stopniowego przeobrażenia ludowej kultury obyczajowej na tę formę inną, która nazywa się wyższą. Tego czasu jednak i tej możliwości niema i życie, wciągając górala w skomplikowany wir stosunków społeczno-politycznych, te cenne jego pierwiastki psychiczne przerabia na małoduszność, tchórzostwo, dwulicowość, prowadzące do ciężkich zawikłań przy wszelkich sprawach społecznych, których rozwiązanie zależne jest od charakteru jednostek. Góral, który swego zdania broni na zasadzie własnego przekonania i który je wypowiada bez względu na nic i na nikogo — jest rzadkością. To, co było niegdyś ową podziwianą przez Staszica grzecznością, staje się tchórzliwym staraniem się, żeby nie wejść w kolizję z tym lub z owym autorytetem“.

Charakterystyka onczesnych zakopian, jaką podaje Witkiewicz, da się w zupełności odnieść do dzisiejszych, tylko jeszcze w posunięciu in minus. Już to tak kolejną normalną rzeczą coraz to niżej szło. Na umysłach, a bardziej na obyczajach górali zaważyły złe wpływy poboczne, wyniesione z wojska czy emigracji, głównie zaś wpływ na miejscu mnożących się z każdym rokiem gości. „Młodsze pokolenie“ — zaświadcza Witkiewicz — „im więcej ma stosunków ze światem, im bliżej się styka z t. zw. wyższą kulturą, tem bardziej traci tę wytworność obyczajową, którą podziwialiśmy u starych górali. Przychodzi życie nowe, to życie ze świata, ze swojemi brutalnemi normami, ze swojemi formami stosunków i rzeczy, które są inne, nie zrośnięte z myślą i czuciem górala — i tu następuje zachwianie ludowej kultury, zachwianie jedności między rasowemi i społecznemi przymiotami górali. Wtargnięcie tu życia normalnego

oznacza wtargnięcie i zalew popolitości stosunków i obyczajów“. Pierwsi goście, jakich tu Giewont oglądał, wnieśli z sobą dobro istotnej kultury, cenne przymioty serca i umysłu i wiele rozumnego, oddziałującego na zbytnią trzeźwość górali, entuzjazmu. Byli to bowiem ci jeszcze, którzy przez trud nieułatwionej kolejną podróżą ze czcią prawdziwą ku podniebnym ołtarzom Tatr, ku bramom odrodzkiej mocy, wędrowali. Po ich szlakach przychodzili inni. Popolitość wprawdzie, którą prowadzi wygodą, nie zalała tu jeszcze kotliny; miała to uczynić później. (Ta, jaką postrzegł Witkiewicz, daleką jeszcze była od dzisiejszej.) — Nie wszyscy jednak mogli być Chałubińskimi, Witkiewiczami, Dembowskiemi. Chałubiński dobrodziejem był górali, lecz i sędzią ojcowskim. Witkiewicz również cenił i podziwiał rzadkie przymioty rasowe górali, lecz ich co do charakterów, jak widzimy, surowo umiał osądzać.

Za nimi jednak przyszedł ów znany wszechnie snobizm zakopiański, chwałstwo przesadne górali i to akurat małowartych, tych, którzy się gościom narzucali, nie mających nic w sobie z godności dawnych pasterzy, a dużo półmiejskimi manierami ponasiakanych. Jużci stąd łącno przy próżni wewnętrznej honorząca się napokaz zarozumiałość jako też pawienie się odświętną góralskością swoją wobec gości. Wytworzył się typ zakopiańca operetkowego, który, rzucając się družbowatością uprzykrzoną w oczy, dał znowu powód do niesłusznego osądu górali, poza jarmarkiem Krupówek gazdujących.

Ławy przewodników, dawniej przez sędziwych odkrywców „perci“ tatrzańskich, towarzyszy Chałubińskiego

zasiadane, zajęli w większości ludzie, nie widzący w swym szczytnym zawodzie nic nadto krom zarobku. Wobec gościa, podług zważenia go ocznie, stosują pochlebstwo niskie albo cynizm.

Młody student, pierwszy raz wybierający się na wycieczkę w Tatry, umawia się z przewodnikiem i zapytuje, co ma kupić do jedzenia w drogę. Przewodnik na to :

— La siebie kupcie chleba, kiełbasy, piwa flaszkę — i co wam ta lubuje. A la mnie ta niewiele: litr konjaku, pół funta kawioru, bułek jakich parę — wystarczy.

Cynizm kpiący, obcy umysłowości dawniejszych górali, bardzo często spotyka się wśród dzisiejszego pokolenia. Wojna też poczyniła niemałe szczyrby w duszach jak i ciałach. Egoizm, który tu się wyjątkowo krzewił, zdrapieźniał jeszcze bardziej.

Uogólniać jednak trudno. Jak w każdej społeczności, jest i tu gama dusz szeroka: pod moralnym względem jak i umysłowym, które nie w równi idą. Zawody czy zajęcia są też w tem napóły-mieście rozmaite.

W masie zakopian dadzą się wyznaczyć hotelarze i kupcy z bogaceni; właściciele will większych, prowadzący nieproduktywne gazdostwa po boku; gazdowie-majstrzy (budarze, stolarze i t. d.), którzy warsztatów ni gazdostw rozwinąć nie mogą; cała masa wreszcie drobnych gospodarzy, którzy z parcelek mizernych czy z domków, wynajmowanych latem, wyżywić się nie mogą, dorabiają na życie zarobkiem, jaki się zdarzy, głównie fiakrowaniem.

Owo zaś osławione „zdzierstwo“ zakopianów — gdy nie jest jeno, jak się zdarza, konikiem gazeciarskim — przyczyny ma dalsze, niż prosta zachłanność, poczęści w gościach samych.

Dawniej przyjeżdżali do Zakopanego głównie ludzie zamożni, którzy — że to w egzotyźmie raptem się naleźli — rozdawali pieniądze bez rachunku. Przeto utarło się: „łatwy zarobek u gościa“. Gdy dalszy rozwój wioski podtatrzeńskiej w skupisko miejskie obecne pokazał oczom prymitywnym, jak dudek ceniony, stał się ów dudek dla niektórych wszystkim. A gdy jarmark wokoło Krupówek do ścisku się wzmógł, wzmogły się też i zwykle jarmarczne podrywki, oszukaństwa, gnębienie słabszych, a w stosunku do możnych oportunizm — jak w każdym jarmarku świata, gdzie instynkty niższe się jaskrawią.

O ile dawniej zakopianie byli przechwaleni, o tyle teraz przywykło się w czambuł na nich psioczyć. Piśzący często nie wchodzą w przyczyny i w warunki specjalne, jakie się przez rozwój wsi w miasto dla miejscowych ludzi wytworzyły; zewnętrzne jeno uważają strony. Nie widzą trudności, w jakich góral (w masie biednej) ogółem dzisiaj żyje; jakie czyni nadludzkie wysiłki, aby utrzymać się w tych młacznych, chwiejących się stosunkach na powierzchni.

Mimo wad, stwierdzonych wyżej, nie jest już tak doznaku z rasą góralską w Zakopanem źle; a w każdym razie lepiej, niż z napłynioną tu falą „ceperską“. — Niema już wprawdzie tych gazdów dostojnych, których Witkiewicz podziwiał; z wczorajszych niedobitków gdy się jaki trafi, to gdzieś schowany w kącie osiedli, na przy-

piecku resztę dni swych pędzi — lecz z pokolenia dzisiejszego, w trudnych wzrastającego przemianach (gdy Zakopane w miasto przechodziło), jest wielu umiejących się do nowych warunków dostosować, a nie tracących swej chłopskości i swej dumy rodnej. Rody Gąsieniców, Krzeptowskich, Rojów i t. d. wydają jeszcze tęgie jednostki. — Są, którzy w gminie, w Związku, w zarządach spółdzielni, w różnych instytucjach samorządnych całę dorzecznie dają sobie radę. — Wyszli z rodów tych artyści, którzy chlubą są Zakopanego; oficerów dzielnych kilku, pracowników wielu świątłych na różnych polach. Idą młodzi. Szkoła drzewna też spory zastęp kształci.

Nie jest (w sumie) z umysłowością zakopian tak kiepsko. A jeśli o charaktery i uczciwość chodzi — zawdy znajdzie się tych pięciu sprawiedliwych, dla których resztę salwować się godzi.

XII.

ŚMIERĆ DANIELA.

Zginął Daniel, przewodnik tatrzański. Wielu w Tatrach pochłonnych zginęło — i obyło się na podaniu faktu. Jest jednak w śmierci Danielowej pewien rys bohaterstwa, który każe imię jego włączyć w legendę.

Któż to był Daniel?... Jeden ze starszych gazdów pod regłami, których już, niedobitków wsi pośród otoczy kramów i hoteli, niewielu pozostało. Jan Gąsienica po rodzie się pisał, a zwano go, jak tu powszechnie w użyciu, po zawołaniu: Daniel.

Bywającym pod Tatrami znana to była postać — raz przewodnika, raz fiakra, bo i tem się przy czasie trudnił — najczęściej koło poczty widywana: rostu niewysokiego, zwarta, czerstwa jeszcze i ruchliwa, o twarzy wsze uśmiechniętej, o rudych bokobrodach, zagadująca ich literacko („bo mnie wej, panie, wykołysał wia-ter“) Tetmajerem, Sabałą, Suleją; coś miarkująca z prostoty rzeczy minionych, a już w baroku ninie jarmarcznym zblądzona.

Mimo tych zmyleń myślowych, co się często wysoce nauicznym trafia, Daniel zachował w naturze swej łączącą

go z dawnymi laty ślebodę, Danielową swoistą niezależność. Mówią o tem choćby te „strafy“, jakie żona zapłaciła zań, gdy fiakrował, za niestosowanie się do zarządzeń władz co do miejsc postoju, szybkiej jazdy i t. p. Nie chodziło tu o takse, o zarobek. Daniel - fiakier bogacza - gościa pominął, a jechał z tym, co wiedział, że się z nim ucieszy. Tańczyć szczególnie lubiał. Gdzie okazja się zdarzyła — w karczmie, w schronisku, przy wozie, ba, przy koniu na ulicy — tańczył.

A drugą naturą jego były Tatry. Chodził w nie jako przewodnik, a i sam wybiegał w góry dla uweselenia duszy abo poprostu z ciekawości; co też tam, jako też tam, czy już śnieg zszedł, czy stawy puściły... Nic to, że roki szły, siedemdziesiątka się zbliżała. Daniel w naturze się nie starzał.

Aże przyszła ta zima — mroźna, pogodna, bezśniegowa. W Zakopanem cicho, jak w Witowie. Ni gości, ni nart, ni zawodów. Daniel musiał się nudzić. W góry go słońce ciągnęło — i może ta ostatnia radość...

Zdarzył się gość, młody student, Tatr nie znający...
— Pojedziemy, panie, do Morskiego?

Pojechali. W drodze powrotnej namówił go Daniel, by szedł z nim w Tatry. Niechętnie pono, lecz dał się przykłonić. A w Tatrach szreń — skały oślizgłe — lody; żaden przewodnik iśćby się nie ważył. Są tu letkomyślności, Danielowej naturze właściwe, które zresztą śmiercią swą zapłacił.

Wyruszyli z południa na Halę Gąsienicową. Tam w schronisku zanocowali. Tam też Daniel 70-letni dla rozruszania kości ćwierć nocy przetańczył. Rano poszli

przez Zawrat do Pięciu Stawów. Stąd pod wieczór chcieli spuścić się do Roztoki.

Ruszyli wzdłuż potoku nadół, ku Siklawie. Lecz ziemia i skały omarznęte — trafili na spadek trudny — iść się nie dało. Tedy Daniel doradza — jak to zapewne nieraz czynił: — na ciupadze zjechać.

Bierze pod się ciupagę — rusza pierwszy. Ujechał moment — trafia na kamień olodzony: poderwało mu nogi, porwało go — i już bez woli zjechał aż na próg potoku, łamiąc stopami lód i wpadając do wody.

Student, który stał jeszcze na miejscu, słysząc wołanie z dołu, obszedł powoli zmarzlinę — z godzinę to może trwało — zbliżył się ku Danielowi, który tkwił w lodzie zesłabły, a nie mogąc zejść ku samemu niemu, rzucił mu pętlę związaną i wyciągnął go ku sobie.

— Słabo mi — mówi Daniel. — Podłózcie mi co pod głowę.

A gdy mu ów podsunął plecak:

— Cuję, że tu już umrę. Uściskajcie mnie, panie. Noc się zbliżała...

Serce Daniela ustawać poczęło: — Dotąd — powiada — dotąd...

Tedy w momencie tym ostatnim ocknął się w nim przewodnik. Cudowną mocą dźwignął się napoły i dłoń unosząc:

— Tędy idźcie, — pokazał, — potem na prawo... wdół... traficie prosto na drogę...

To rzekłszy, osunął się na ziem. I już nie żył.

.

Jaki bądź on żywot był — a, widzimy, nie całe ubogi — śmierć owa rzuca refleks na cały jego trud żywotny wstecz; przez nią, niby przez bramę lodową, wchodzi Daniel-przewodnik w galerję postaci wysokich ze „skalnego Podhala“.

XIII.

WIEŚ TETMAJERÓW.

Kilkunastomilową dolinę Nowotarską lub właściwiej dolinę Dunajca, po jego wrąb w Pieniny, zamykają: od wschodu te właśnie bramy Pienin, od północy wał Gorców i Beskidu, od zachodu orawskie hory, a od południa Tatry. — Dolina ta, tak w sobie zamknięta, tak charakterem swym od reszty kraju inna, tak — można rzec — odrębnie żyjąca, nasuwać może jedyne porównanie z państwami dawnymi greckimi, równie przez swe zamknięcie w kotlinach od siebie wzajem wyodrębnionymi. A ta pewna jej helleńskość (że użyję wyrazu nadużywanego) tkwi nietylko w geograficznym jej położeniu; przebija się w temperamencie ludności, w obrazowości i rytmice gwary, jako też w tej słoneczności, którą, mimo chłodu, zawiewającego od sinych Tatr, po brzegi niemal zalewa. — Komu w dzień pogodny, jadącemu z Chabówki do Zakopanego, na przechyleniu z Obidowej odsłonił się z nagłą widok na rzeczoną dolinę ku Tatrom, ten z pewnością nigdy tego olśnienia nie zapomni: — wizji jakiejś krainy szczęsnej,

południowej, pełnej rozpylonego słońca, z cudem niedo-uwierzenia mglących się woddali Tatr...

Prawie pośrodku tej doliny, na otwartej równinie, milę na zachód od Miasta (Nowego Targu), na lewym brzegu Dunajca Czarnego, nad ujściem rzeczki Lepietnicy, która z Gorców z pod Turbacza spada, leży stara osada **L u d ż m i e r z**, rodzinna wieś Tetmajerów.

Uplastycznijmy sobie lepiej tę sławną już dziś dziedzinę podhalską, której losem szczęśliwym przyznany jest zaszczyt być kolebką dwóch wielkich braci-artyistów.

Od północy więc olbrzymi, lesisty wał Gorców... Na południu, widne w całym majestacie, z ponad spiętrzonych wzgórz Podhala skalnego ku obłokom wyniesione, Tatry... Na zachód i wschód przestrzeń równienna, daleka — niby dwie bramy, naoścież dla duszy wrażliwej rozwarte: świtu i zmierzchu, radości i tęsknoty... Tuż pobok szemroty rzeczne... Długie zagony pól, łąki torfiaste... Dalej, przeświecające wśród wiklin, ujęte tu niskimi brzegami, Dunajca fale... Za Dunajcem bór smrekowo-sośniany — aż ku Miastu, z którego widna jeno ponad ciemną ścianą lasu wieża kościoła św. Katarzyny, pamiętająca zmierzchłe czasy Kazimierza Wielkiego, i stojący na wzgórzu nad miastem, ponoć jeszcze starszy, drewniany kościółek św. Anny, według podania przez zbójników ufundowany. — Drzew liściastych ubogo... Parę lip koło kościoła — tu i owdzie nad ciemne dachy chałup wyniesione zielone czapy jesionów — jawór gdzieś w kępie samotny — wierzba skądś trafem w ten nieswój kraj zaplątana — i tyle. Zato słońce, długimi szlaki chodzące — z bramy Pienin, ponad dłuż

Tatr, aż ku zapadłej Orawie — jest tu o każdej porze dnia, gdy go chmury nie kryją, obecne.

Tu więc twórca „Skalnego Podhala“ wśród tej otoczy smętnej i wspaniałej przeżył dziecięcą wiosnę i lata pierwszej młodości; lata, które kształtują rdzeń duszy, którego są niejako śpichrzem wrażeń, odbieranych z zewnątrz barw, uczuć — na całe życie.

Uprzytomnijmy sobie treść tych chwil wstępnego życia poety, a zrozumiemy wagę ich tworzącą, i wiele z utworów jego tem bardziej się nam, bo na ziemi, określonej wiedzą, uplastyczni.

Dworek Tetmajerów w Ludźmierzu nie odcinał się od życia otaczającego. Ojciec poety żył z chłopami w przyjaznem sąsiedztwie i miał duży mir na okolicę, jak świadczą wspominki starych. To też poeta od dziecka stykał się z ludźmierzanami, a i z dalszymi ludźmi z Podhala (bo do ojca, jako posła, szli chłopci zewsząd na uradę) i wczesnie już nauczył się polskiej ludu gwary, którą mówił wnet jak swoją. Później, przyjeżdżając ze szkół na wakacje, „towarzyszył się“ z rówieśnikami, a miał zapewne od czasu dzieciństwa i starych gazdów-przyjaciół, do których chadzał na „gadki“: o czasach drzewnych, o zbójnikach, o dawnym świecie Podhala. — Przeogromne zwaliska Tatr padały grozą na wrażliwą duszę, to wyszarpywały z niej swym ku niebu krzykiem wolę potęgi... A gdy zamgliło je słońce — iż stawały się snem, mityczną jawą — to znów wiodły duszę w baśń niezamknioną, w marzenie. — Legendy słychiwane o bajecznem wnętrzu Tatr, opowieści o ludziach mocarnych, o górnem, skalnem Podhale, rozpały wyobraźnię młodzieńca. Widywał ich

zapewne, tych „skrzydlatych“, corocznie podczas odpustu. Na Matkę Boską Zielną w sierpniu ściąga całe Podhale do Ludźmierza. Mógł się im wszystkim i ich strojom dowoli napatrzeć.

Chybko minęły te lata. Poeta pōszedł „w świat“. I w tem nie uszedł losu swych krajan-Podhalan. Jednak Ludźmierz w twórczości jego pozostał. Chwile, tam przeżyte, wróciły po latach, nienaruszone, lecz ileż głębsze! Przeszły z pamięci przez rezonans duszy, przez jej pustkę. Dołączyły się do ich tych samych barw: wiedza o nich, że były, żal, że umarli, i wreszcie smutek, który narasta ze życia i wszystko swym cieniem tonuje. „Na Anioł Pański biją dzwony“...

Wszystkie zmierzchy, zachody, południa, tylekroć widziane z łąk ludzimierskich, wróca, odbijają się w poezji przypomnieniem. Twórczość jest przypominaniem — można w skrócie powiedzieć.

Jest w „Janosiku Nędzy Litmanowskim“ opis powodzi. Jakich rzek? Juścić Dunajca i Lepietnicy. Prawie widzę, gdzie stał chłopiędziem, w którym miejscu, i patrzył trwożnie na toczące się męty wód, na głuszone szumem krzyki pasterzy za wodą, którym wezbrany zagnała potok odciął powrót do dziedzin.

Nawet mówiąc o zamierzchłych czasach, z tej strony spojrzysz na nie nieraz, od Ludźmierza, czego dowodem w cyklu „Na skalnem Podhalu“ rzecz p. t. „Rosiczka“. — Ludźmierz za dawnych czasów z paru sąsiednimi osadami należał do t. zw. opatowszczyzny, własności O. O. cystersów, którzy mieli klasztor obok w sąsiednim Rogoźniku, lecz po dziesięciokrotnym napadzie zbójników zmuszeni byli przenieść się, w kąć spokojniejszy. —

Otóż te czasy, prawie zmierzchłe dla nas, z głębokiem odczuciem duszy i wierzeń onczesnego ludu obrazuje poeta w „Rosiczce“.

Wszędy pójdzie za nim nieprzygasła, mimo lat grodzących, wizja wsi rodzinnej; na zawsze zatrzymany, niby sen odbity, szczęścia, pejzaż młodzieńczych lat. I często za minionem dusza, jak za rajem utraconym, zatęskni. — Z obczyzny dalekiej „na wiosnę“ poświęca bratu Włodzimierzowi kilka sonetów, między temi jeden p. t. „Tęsknica“, w którym czytamy:

„Tam u nas tak w niedzielę, w majowy poranek
Idą dziewczki z kościoła, z kwiatów wianki plotą,
Ze stokrotek barwistych, z polnych macierzanek —
Zda się, Bóg w jasnem niebie twarz pokaże złotą“...

Jeżeli przypomnimy, jaką wagą w wizyjnej tęsknocie poety mają Cisza, Przestrzeń i Światło, to Bóstwo jego w trójcy, do którego się modli w najwyższem poruszeniu serca, które zowie „świętą ojczyzną ducha“ — jeżeli przypomnimy realność niemal tej wizji poety, to nie odbiegniemy, mniemam, tak dalece od prawdy, gdy stwierdzimy, że to jest ów „pejzaż utracony“, ów „kraj bajeczny“ — że on to Bóstwo w trójcy istotnie widział, obejmował oczyma dziecka w tej słonecznej, helleńskiej dolinie.

XIV.

O STANISŁAWIE WITKIEWICZU.

I.

O Stanisławie Witkiewiczu, z pochyleniem głowy we czci jak przed niewielu polskimi świętymi, powiedzieć trzeba: Oto człowiek wielki. Już nie w rozumieniu jednostronnie wysokim — jako wielki artysta, pisarz czy architekt — lecz pro prostu: wielki człowiek. Wielki budowniczy życia.

Jak w krynicznej wodzie wysokiego tatrzańskiego stawu odbijają się do szczegółów z wszystkimi załamami i niezmnieszoną żywością barw plastyczne kolosy gór, wraz z niebem upadłem na dno, — tak w przezrystym pryzmacie duszy Witkiewicza odbijało się życie narodu w całej pełni swej, z bogactwem światła i cieni, załamując się pod kątem, nigdy niemylnym, jego własnego, przejasnego na rzeczy patrzenia. I jak ów staw wysoki bierze w kąpiel góry, tak on brał życie polskie w siebie — wyczyszczał je duszą własną — i łączył z niebem.

W nim, jak w niewielu najwyższych duchach polskich, świątynił duch narodu. Nie przez zakłęcie natchnienia, lecz przez równie wysoką moc prawości myśli i serca, i czar iście gontynnej prostoty. Bo prostym był ten człowiek wielki we wszystkich postępkach, jak pasterz słonecznych łąk albo któryś z Braci pierwszych świętego Franciszka.

Był też Witkiewicz z zakonu wielkich harmonistów, którzy godzą człowieka z przyrodą. Podobnie jak Ruskin w Anglii. Był ewangelistą jak Tołstoj, tylko szczerzym.

Lecz jeśli jakie przyrównanie do znanych nam postaci podpada, któreby najwierniej tłumaczyło właściwość jego duchową, a nawet z formą uzewnętrzniania się onej, to najbliżej prawdy stoi określenie: Sokrates polski.

Tu mimowolnie nasuwa się przeciwstawne porównanie twórczości jego z twórczością Jacka Malczewskiego. Gdy u Malczewskiego, prawie nie widzącego realnego życia dookoła, całe jego wewnętrzne życie wizyjne odbiło się na płótnach — (zebrać wszystkie jego prace: jakie bogactwo!) — to Witkiewicz najchętniej rozpromieniowałby cały na otoczenie. Malczewski życie na sztukę przekłada — Witkiewicz z życia pragnął dzieło sztuki tworzyć. Jeżeli miał się pióra, pendzla lub ołówka, to poto (z niewielkimi odskokami w bezinteresowność artystyczną), by coś w życiu duchowym narodu poprawić lub jako przykład stawić. Te pobudki łączą go z pisarzami-obywatelami Rzeczypospolitej XVI wieku. A talentu wielkiego już sprawa, że te zamiary życiotwórcze przemieniały się w wypowied-

dzeniu lub wykonaniu głębmem w dzieła sztuki, nie-
rzadko w arcydzieła.

Tak też powstała książka „Krytyka i sztuka“. Trzeba było te płoty zaściankowego estetyzmu, jakimi swojscy ideolodzy odgradzali nieświadomość artystyczną społeczeństwa od Europy, obalić — stąd szereg miazdzących polemicznych artykułów, w myśl sokratycznej zasady: „Rozumuj spokojnie, a dowódź z pasją“. Książka ta, elementarz estetyczny, narobiwszy zrazu sporo gniewów, przesiąkała w czasie dość krótkim w krew ogółu i więcej sprawiła w dziedzinie uświadomienia artystycznego społeczeństwa, niż niejedna akademja.

Jako zaś przykłady wysokie — monumenty sądu i uczucia — ukazują się monografie: o Matejce, o braciach Gierymskich, o Juljuszu Kossaku i innych.

Obrazów doskonałych dał kilka. Z tych najszerzej znany „Obłok“, inaczej „Wiatr halny“.

Na życie tak duchowo bogate — prac, manifestacyj artystycznych, włączając nawet dzieła tatrzańskie, za mało. Charakterystycznym jest, że Witkiewicz, który tyle projektów budowlanych zrobił w życiu, żadnego prawie podług fachowych wymagań nie wykończył, a budarzom tatrzańskim, ufając zresztą słusznie ich domyślności, żadnego prawie planu w całości nie narysował, dając co najwyżej zasadnicze szczegóły. Nie miał na to cierpliwości. Bowiem, jak się już rzekło, Witkiewicz najchętniej nicby nie „czynił“, lecz chodził między ludźmi, patrzył temi błękitnymi oczami i gwarzył, nauczał i rozpowiadał. Jak Sokrates.

To też, gdy ktoś (czy nie Artur Górski) Akademię platońską w Zakopanem projektował, Witkiewicza jako

prowadziciela widziano. A nawet kto wie, czy nie z powodu właśnie Witkiewicza, jego sokratyzmu, myśl ta powstała.

Lecz Witkiewicz do akademji, ni do żadnych wspólnych obrad się nie nadawał. Strzegł się wszelkich komitetów. Lubił chodzić luzem. Był indywidualistą bezkompromisowym, mimo tak wysoce rozwiniętego i uszlachetnionego w sobie społecznego instynktu. Łączył to razem cudownie.

Obserwatorem był nadzwyczajnym. Patrzył na rzeczy wybystrzonymi oczyma malarza i psychologa - odkrywcy. Człowiek był dlań nietylko przedmiotem artystycznym, lecz i wartością wyznaczalną. Niesłychane też wyniki zdobył jako sprawdzacz. Miał np. przyjaciela Kościelnego. Prowadzi doń Malczewskiego Jacka, ciekaw, co o nim Kościelny powie. Albo: zaprosił do siebie na jedną godzinę hr. Pinińskiego, namiestnika Galicji, i ś. p. Kazimierza Mokłowskiego, socjalistę. Jako też będą ze sobą gwarzyli. Wiedział, że odnajdą łatwo wspólną platformę — sztukę.

Tak siedząc w Zakopanem, w Ślimakowej izbie na Krupkówkach, jak pająk z bajki pod strzechą — gdy przesuwiała się przed nim cała niemal Polska, szli doń jak do proroka ludzie — sprawdzał, obserwował, przeziernął z pod swej strzechy całą gamę dusz i charakterów. Uczył siebie i drugich — z księgi, dla niewielu jeno dusz prostych otwartej.

Witkiewicz jako wychowawca nie jest dość — a może wcale nawet nie — oceniony. Zwrócę tu uwagę choćby na te przemądre ustępy o hodowli ras i ludzi (w drugim wydaniu „Na przełęczu“) i na studjum

o wychowaniu religijnem (w czasopiśmie „Reforma Szkolna“).

Opowiadał cudownie. Inaczej trudno określić. Kto go raz słyszał, nie zapomni. Opowiadania jego, słuchane przed laty — gdy w pracowni rzeźbiarza Nalborczyka, na niskim stołku siedząc, gwarzył: jako to chłopcem będąc, wywieziony z rodzicami na Syberję, z rówieśnikiem swym, ś. p. Konradem Prószyńskim (Promykiem), oszczędzali cukier i składali, by się zbożać, wrócić do Polski i zrobić powstanie; jako to w czasach monachijskich wespół z Chełmońskim głodowali; to o Kurzawie, Gierymskich i innych — są mi jak wczora słyszane.

Mówił, jak pisał. A styl jego — to całe studja: o jasności, plastyce, prostocie, głębokości myśli i wysokości uczuć — cały, doskonały człowiek. Człowiek renesansu, pełny, bez uchybień.

Pozostaje mi jeszcze powiedzieć o stosunku Witkiewicza do Podhala; co Tatry mu dały, i co on dał tej ziemi wysokiej. Cały świat przedziwnych odkryć, a dominujący ton w harmonji jego ducha.

II.

Kiedy Witkiewicz przybył przed laty z Warszawy do uzdrowiska pod Tatry, zastał Zakopane jeszcze mało zepsute „kulturą“, o charakterze wsi, zabudowanej, jak obecnie Chochołów lub Witów. Zastał Tatry o wiele, niż dziś, groźniejsze w swej skalnej niedostępności, jedynie swym orlim synom lub „jego wielgomożności“ panu Chałubińskiemu, gdy w ich pustacie pod jesień

wkraczał z wyprawą królewską, swe zazdrośnie ukrywane skarby otwierające. Zastał ów zmierzchający świat tetmajerowskiego skalnego Podhala, ludzi na miarę eposu — owych Zychów, Toporów, Bachledów — i Homera tego zamierającego świata, Sabałę. Zastał wśród tych starych sępów kulturę starą, rodzimą, wytworność obyczaju i form towarzyskich, niespotykaną wśród chłopów nizinnych, żywość umysłu, fantazję. Jako malarza zachwycić go też musiał fizyczny typ rasy, piękny, w stroju obcisłym, malowniczym. W chałupach zastał sprzęty bryzowane, wszystkie przedmioty użytku celowo i artystycznie wykonane, od stołu do maselniczki. Uderzyła jego oczy architekta chata góralska swoją konstrukcją logiczną, jej rozkład, proporcje, dające możliwości rozwinięcia.

Słowem — zastał świat nowy, odrębny, świat o pełnym i własnym wyrazie. Rozkochała się dusza jego w tym helleńskim, podtatrzeńskim świecie — czem dla płuc jego powietrze żywiczne, tem dla umysłu było obcowanie z pierwotną mądrością gazdów — i już odtąd przez ten świat będzie patrzył na rzeczy nawet oddalone, stąd będzie używał porównań i określeń, przeciwstawiając mimowoli siebie i świat ten razem wszystkiemu poza tem. Tu duch jego wrósł, jak ów smrek w szczelinę skalną i poczuł siebie w gruncie.

Z drugiego krańca Polski, ze Żmudzi przybyły, stał się, jak się sam wyrażał, patriotą Podhala; gorliwszym, a już pewnie głębszym, niż wielu urodzonych Podhalan. Niema w tem samookreśleniu, co snobizm mógł zarzucić, nic z separatyzmu lub z parafjańskiej jakiejś wyłączności. Jest oto zobaczenie bogatej w przy-

mioty ciała i umysłu, wyjątkowej rasy, na tle równie wyjątkowo bogatem. — Nie było też u Witkiewicza nic z zarzucanego mu kiedyś sentymentu, odnośnie do górali. Przeciwnie, widział on lepiej od innych wszystkie ciemne i złe strony ich charakteru, zwłaszcza wśród cywilizacją zepsutego młodszego pokolenia; chłostał je i wykazywał, że trudno o dosadniejsze piętnowanie; wierzył jednak, że rasa ta tyle ma bogactwa w sobie i rozwojowych możliwości, iż „zdolną jest wydać z siebie najwyższy typ człowieczeństwa“.

Pierwszą manifestacją zetknięcia się Witkiewicza z przyrodą i ludźmi Tatr, manifestacją zachwytu, która tak głośną stała się w Polsce — gdyż pokazała plastycznie w słowie i ilustracji świat nowy, odrębny — było pierwsze wydanie „Na przełęczy“.

A jeśli chodzi o opis natury — to nie wiem, czy jest gdzie piękniejszy, prawdziwszy i sumienniejszy, niż jego „Zima w Tatrach“ (w drugim wydaniu tej książki). Jest tam cały proces, wszystkie niesłychane wydziwy i cuda, jakie wiatr i słońce wyprawiają z podatnym śniegiem; jak rzeźbią, modelują, w jakie stroją go blaski. Witkiewicz-Sokrates miał czas tej zmiennej naturze górskiej przez lata się napatrzeć i przeznał ją do gruntu.

Z przyrodzonych bogactw górala niemało zajęła też twórcę „Na przełęczy“ gwara. Nie władał nią swobodnie i nie mógł w niej tworzyć, jak Tetmajer, lecz mając taki wzór, jak słuchany tylekroć Sabała, znał i oceniał jej obrazowość zwięzłą, jej logikę i harmonję klasyczną. Często w swobodnej pogwarce wtrącał góralskie wyrazy i określenia. Dał też w gwarze podhalań-

skiej przepiękne przekłady niektórych z „Kwiatków św. Franciszka“.

Rozpatrzywszy się w stylu spotkanej chałupy i wnętrza, podjął śmiały plan rozwinięcia tego stylu i doprowadzenia go do wysokiego arcyzmu — połączenia nizin z górą — chałupy z pałacem. Co też w mierze niemałej osiągnął, zatknąwszy zwycięsko pazdur na bogatej, wyrosłej z góralskiej chałupy — willi. Jest to czyn prawdziwy, trwały, i nic go w postępie czasu nie umniejszy. Jakąkolwiek drogą potoczy się budownictwo na Podhalu, chałupa-willa Witkiewicza, jako pierwsze i szczęśliwe rozwiązanie problemu tak trudnego, pozostanie. Nie zabudował Podhala, jak pragnął — przyjdą przyszli pionierzy i czyn jego podejmą.

Doświadczenia psychologiczno - artystyczne są treścią jego książki „Z Tatr“. Tylko Witkiewicz mógł tak zespolić, stopić — i nowele, i bajki, i uwagi — w jeden artystyczny kruszec. Książka ta jest odbiciem jego pełni, nieoddzielania człowieka czującego od artysty.

Najważniejszy jednak dokument, mówiący o nim, to: „Po 20 latach“, wstęp do II wydania „Na przełęczy“. Jakże ten wstęp pogłębił książkę, takim aplauzem przed laty witaną!

Jest to manifest, który skupił w sobie wszystkie promienie jego myśli i umiłowań. Jest to zrewidowanie po latach dwudziestu stosunku swego do zjawisk tatrzańskiego świata, a zarazem syntetyczne objęcie tego okresu życia ludu góralskiego, na który wybystrzonymi oczyma artysty, sercem wielkim i umysłem wyostrzonym patrzył. Książka-sąd, książka-zamknięcie. Testament rozumu i serca. Każde zdanie jest ciężkie od stwier-

dzonej doświadczeniem prawdy. Naprzykład: „Rozwój pojęć nie zwyższy człowieka, jeśli nie idzie w parze z rozwojem uczuć, które gruntują charakter“. Lub: kto chce poznać lud naprawdę „musi potracić wprzód wiele z arystokratycznych i demokratycznych uprzedzeń“ i t. d. i t. d. Na 140 stronach rozwiniętych jest tyle obrazów i opisów świetnych, tyle mądrych spostrzeżeń i uwag, tyle głębokich zestawień i uogólnień, taka nabrzmiałość i spoistość tętniącej żywą krwią treści — iż na wiele bogatych starczyłaby książek. — Uwagi te powinny być jak tablice nade drzwiami ryte. A zwłaszcza wychowawcy i ci, co idą między lud, powinni, jak katechizm podręczny, uwagi te przy sobie nosić i jak najczęściej w nie zaglądać, aż do wpojenia ich sobie, jak przykazań.

* * *

Gdym w roku 1913 wiosną odwiedził go w Lornanie, gdzie, przez chorobę fatalną jak na banicję z ukochanego Podhala skazany, od kilku lat przebywał, zastałem go zmienionego bardzo. Gorączka go podgryzła. Oczy — te jasne, błękitne oczy — przygasły. Żywo jednak rozpytywał o sprawy Podhala i cieszył się naszymi, idącymi w przyszłość zamiarami. Wyrażał zadowolenie, że odniesiono się doń o projekt gmachu Muzeum im. Chałubińskiego w Zakopanem. „Nie zabacyli o starym dziadzie“ — ironizował. Rysował w przerwach gorączki. Przed oknami — mówił — ma smreczka, który przypomina mu Podhale.

Nie widziałem go już czasu wojny. Lecz wiem, jak żywo reagował uczuciem, myślą na idące, ogromne

zdarzenia. Dowodem drukowane wyjątki z „Listów do siostry“.

Widzę te mądre, kochane błękitne oczy — światło przeczystej duszy — i dotąd nie mogę uwierzyć, że go już mówiącego słyszał nie będę.

XV.

O TETMAJEROWEM „SKALNEM PODHALU“.

Podniosły się skrzyżale
Z zasutych wiekami cmentarzy —
Całe skalne Podhale
Ożyło, rozpieśnia się, gwarzy...

Wszystko, co śmiercią spało,
Do życia wkracza z nawrotem —
Aby przypomnieć się chwałą
I świat napełnić łoskotem.

Cóż za lud, dziwnie jedyny!
Cóż za orłowe postaci!
Niedarmo drżały niziny,
Szepcące o nich „Skrzidlaci“...

Z martwych wstali z pod darni,
Zwołani wtórnie do życia —
Tacy, jak byli, harni,
Żywe ich istnie odbicia.

Jeszcze piękniejsi w geście,
We wzięciu bardziej spaniali —
Nie dziw: sto lat, i dwieście
W dumach kamiennych przespali.

Wyszli ku nam na jawę,
Jakby z pradawnych wiecy —
Widma białe, choć krwawe —
Tak bliscy, choć dalecy.

Spojrzymy na Zycha z Witowa,
Jak sie na śmierć sposobi...
Wie, iż ciało ziem schowa,
O nic się więcy nie głobi.

A oto znowu Smaś z Olce
Z Bogem jednać sie jedzie:
Zbrój za pasem, pistolce,
Dwa muzyki, basisty na przedzie...

A któż nie zbaczy se w lęku:
„Bracie mój, ustąp mi tońca!“
Ten ukłon — przed wrogiem — w przykłęku,
Nim zabił.. nim wzięni go Chrońca.

Abo Orlice krwawe...
Te nam wywodzą na oczy
Jakaś zabytą przejawę,
Od której krew sie w nas mroczy.

Abo ten... na Zmarzłym Stawie
W taniec śmierci porwany,
A jeszcze rytmem w „Sto-se!“ — w Sławie...
Wid niesłychany!

Abo starzy Nędzowie
Z Nędzowego Gronika —
Gdy im duch Dziada przepowie
Śmierć syna, Janosika...

Las całyby zrachować,
By ich wszystkich wypomnieć,
Którzy żyli, minęli
I w Pieśń poszli ogromnieć...

Z NAD BAŁTYKU

I.

Gdym przed trzynastu laty jechał statkiem z Rjeki do Poli, byłem na onym statku, ustrojonym w barwy i flagi węgierskie, świadkiem hucznej radości i śpiewów młodzieży. Jakaś szkoła średnia z Budapesztu czy z Debreczyna czyniła wycieczkę morzem naokół brzegów Istrii.

Opadły mię wówczas, pomnę — samotnego na tym cudzym, rozśpiewanym okręcie Polaka — przygnębiające refleksje.

— Nędzarze-śmy wśród narodów — dumałem w sercu. — Zepchnięci z brzegów otwartych, zdala od wodnych dróg świata, na mapie ziemi niewidni, cieniami jesteśmy jeno ludzi wolnych. Jakoż może młodzież nasza, nie biorąca w duszę swą przestrzeni mórz, zaśpiewać kiedy pełną piersią — uczuć się istnie wolną między niebem i ziemią — poczuć skrzydła — rozprężyć ramiona?... Okrętami ze śpiewem triumfu płyną wolni odkrywcy po nowe lądy-zdobycze — my znamy jeno galery katorżne. Katorżne też lub stepowo smutne nasze pieśni.

Tak to sobie niewolnie dumałem, siedząc na zwoju lin koło dzioba statku i patrząc z utajoną pod smutkiem

zazdrością na hałaśliwą młodzież z Debreczyna, czy z Budapesztu.

Czyż mogło mi się wówczas w najbardziej nielogicznym zamarzeniu przyśnić, że zobaczę kiedyś podobną wycieczkę młodzieży polskiej na polskim okręcie, po polskim morzu?

A oto niepodobne stało się faktem. Przed tygodniem brałem udział w wycieczce młodzieży akademickiej z portu naszego w Gdyni na okręcie wojennym „Komendant Piłsudski“.

Wagi doniosłej tego cudu stępała wrażliwość, zbita rumowiskami katastrof światowych, nie docenia. Tyle nieprawdopodobnych stało się na oczach naszych, iż nie dziwimy się by najdziwniejszym zdarzeniom.

A czyż to nie z baśni rzecz, widziana na brzegu polskim — :

Wójt z Wierzchosławic, jako premier Rzeczypospolitej, w otoczeniu ministrów i posłów, zstępujący z pomostu przystani w Orłowie na pokład kanonierki „Jaskółka“, by zwizytować nadbrzeżne miejscowości polskie.

Pośrodku cudów żyjemy. W oczach naszych postąpiła stumilowemi kroki dziejowa konieczność, znacząc słupami zdumień olbrzymiość posunięć. Co zdawało się wieczno-trwałe, padło — co zasię zdawało się na wieki zagasłe, wyszło najaw.

Przeszła burza, jakiej świat nie widział. Gdzie bogowie marli jak śmiertelni, a jawili się w piorunach prawdziwi ziemi władcy.

Przeszła lić krwawa — rozwiały się dymy: wyłonił się z pomorskich pagórz, dawno zatoniony, brzeg polski. Odkryło się zdumionym oczom polskie morze.

W porcie polskim w Gdyni stoi na kotwicy sześć wojennych okrętów polskich —: „Piłsudski“ — „Hal-ler“ — „Mewa“ — „Jaskółka“ — „Czajka“ — „Ry-bitwa“. Jest ich więcej. Będzie ich więcej.

Przecierają ludzie oczy, jakby z ciemnicy wyszli. Polskie morze! Niewielu w Polsce zna je — niewielu w polsce poznało brzeg polski.

A musi je zobaczyć — przejrzeć się w niem jako w zwierciadle — cały naród. Aby się poznał i poczuł się sobą — podobnym wielkim narodom tej ziemi, prawdziwie wolnym.

II.

Jak dotąd — na wybrzeże polskie dostać się można jedyną drogą: przez Gdańsk *). Przyczynia to dużo niedogody wobec nieuregulowanych jeszcze stosunków między Rzeczpospolitą a Wolnem Miastem, jako też wobec różnicy waluty. Jednak już w czasie bliskim ma być otwarta dla użytku publiczności linja nowo-zbudowanej kolei: Kokoszki—Gdynia, przebiegająca w całości przez teren polski. Kolej ta, idąca od Tczewa wśród lesistych pomorskich wzgórz, przez urocze doliny i zbocza, może się równać co do piękności widoków z koleją podkarpacką.

Gdańsk, który słusznie nazwano Wenecją północy, dziwne refleksje budzi w myślach zwiedzającego Polaka. — Miasto patrycjuszów kupieckich, miasto kiedyś hanzeatyckie, gdzie bogactwo wieków dawnych, jak złoto na lamie spłowiełej, prześwieca, pełno w sobie zawiera pamiątek polskich i zaświadczeń łącznego kiedyś życia z Rzeczpospolitą. Jak w bogatej architekturze miasta przeważa renesans, idący z południa przez Polskę, nad zachodnim gotykiem, tak ważył i prąd złoty Wisły — *nervus rerum* — na jego życiu całym.

*) Obecnie i nową koleją, do Gdyni.

Nie wierzę, by Gdańszczanie, naród z tradycji kupiecki, skłonni byli dać się pojąć bezpłodnemu szowinizmowi. Jeśli będą widzieć interes, jak ongi, we współżyciu z Rzeczpospolitą, stosunki ułożą się same przez się ku obopólnemu spotężnieniu życia.

Cóż — składy na Motławie, które kiedyś mieściły sterty wywożonej pszenicy polskiej, dziś mieszczą przywiezione towary z za oceanu. Sławna dźwignia drewniana, która kiedyś ładowała na okręty zboże, len, sól i inne bogactwa Polski, dziś wyładowuje towar obcy.

Uważam, iż tu na Motławie — na tej dźwigni jest sedno, punkt zwrotniczy kwestji polsko-gdańskiej.

Do Wolnego Miasta należą położone na zachód nadbrzeżne miejscowości kuracyjne: znana z historii Oliwa i głośny nowocześnie Sopot. To skupowisko will, parków, hoteli, ładnych tenisowych placów i czysto zamiecionej plaży, ściągało i ściąga dotąd, niejako berlińska Abacja, szukającą przy wywczasach wygod naszą plutokrację żydowską.

Koniec parku Sopotu nad brzegiem jest granicą Wolnego Miasta. Tu, nad kładką strumienia, pod lasem zboczem, stoją naprzeciw siebie dwaj celnicy. Poczyna się brzeg polski.

III.

Najbardziej uroczą miejscowością na polskim po-brzeżu jest, pół mili od Sopotu odległe, Orłowo. W cichej zatoczce, w załomach wzgórza lesistego kilkanaście rozrzuconych will i schludnych domów rybackich, hotel z restauracją ogródkową i duży dom kąpielowy z tarasem, otwartym na morze.

Cichy ten kąt ma nad rozgłośnym Sopotem tę wyższość, iż jest w otoczy pięknej, nie upiększonej natury. Posiada też wcale dobrą, pełnię swobody dającą, plażę, która się ciągnie zakolem popod wysokim, lesistem wybrzeżem, aż ku wylotom Sopotu.

Widok z Orłowa cudowny. Jak wizja zatopionego miasta z bajki, wyjawia się na wschodzie wieżycami Gdańsk — rano niebieski, pod zachód różowy — a gdy zapada noc, zapala się pochód świateł na całym wschodniem zakolu — mruga latarnia w nowym porcie i wybłyskuje samotna, jak gwiazda Polarna, latarnia morska na Helu.

Tuż od Orłowa na zachód wije się, łamie, wspina, wysoko nad roztocz morską wyniesiony, urwisty, romantyczny brzeg — i ciągnie się na milę blisko, aż do Gdyni.

Pobrzeże to wysokie, w załomy, garby, wzgórza, dolinki i wzniesienia pofalowane, lasem różnoliściastym, różnowielkim i bogatą zaścielą krzewów barwnych pokryte. Napotyka się pólka złotego janowca, różowe kępy wrzosu, młode zadrzewia sośniane, gaje leszczyn, wyniosłe dęby, buki, pogięte, rozłożyste wiązy, wiotkie brzozy i rzadziej, niepewnie się tu jakoś na piaszczystej obczyźnie czujące, smreki. Przeważa sosna. Ścieżki wpoprzek i podłuż przechodzą załomy leśne — napotykają polanki zaciszne, w oramieniu srebrnych brzoź zamknięte — znagła otwartym wylotem zwróca się na światło morza — nieraz biegną tuż nad krawędzią osypiska.

Nad leśnem tem pobrzeżem górują pogięte, wysoko wyniesione, otwarte pola Radłowa, które szyją długich polan spadają ku morzu. Kamienna góra nad Gdynią zamyka pochód uroczysk.

Gdynia, duża wieś rybacka z dobudową kilkunastu will i brzydkich domów, ze schowanym w marnym ogrodzie kurhauzem, z jedną czy dwiema restauracjami, rozkłada się na skraju płaszczyzny, która ciągnie się od morza daleko w głąb lądu. Na południu wał wzgórzy lesistych — wylot otwarty pod zachód.

Gdynia posiada dużą i czystą plażę, piaszczyste w morze zejście — warunek dobrych kąpiei. Jednak częste przeciągi wiatrów od zachodu, które tumanami piachu jak popiołem miotają od strony lądu, a plażę czynią ruchomą, poblizie długich torfowisk i inne niedogody nie wróżą Gdyni przyszłości jako miejscowości kuracyjnej.

Natomiast Gdynia ma wszelkie warunki, by zabudować się na płaszczyźnie przymorskiej jako miasto portowe.

Władze marynarskie uznały zatokę Gdyńską jako wielce dogodną na wojenny port. Już też prowadzą się energiczne roboty około pogłębienia zatoki — buduje się pomosty i molo, a, w razie niedojścia do harmonji z Gdańskiem, kto wie, czy i port handlowy tu nie powstanie*).

Miejsca na składy portowe i magazyny, jak i na miasto rosnące, jest na równi przybrzeżnej aż nadto. Wille letnicze mogą stanąć na zboczach góry Kamiennej, jako też na wysokiem, malowniczem brzegu Oksywja, które od północnego zachodu, niby ława zielona półwyspu, więzi przestronną zatokę. Kolej, łącząca Gdynię bezpośrednio z arterjami Rzeczypospolitej, podkreśla dużą w przyszłości doniosłość tej miejscowości nadbrzeżnej.

Nie można tego powiedzieć o Pucku. Mieścina ta, przez szarość domów, wąskość uliczek i pobrzeżny brud przypominająca leżące poza drogami wycieczek miasteczka włoskie, ma wprawdzie pewien swoisty charakter, ale też i martwość wegetacji. Położona nad płytką zatoką, w wąskim klinie, nie ma dostatnich warunków rozwoju. Jednak otocz kaszubskich wsi, bliskość komunikacji z osadami rybackimi Helu, połączenie kolejowe z wnętrzem kraju wskazują, że Puck stać się może ważnym ośrodkiem handlu rybnego dla Polski. To też ma na uwadze świeżo otwarta w Pucku filja Towarzystwa „Bałtyk“. Podnieść jeszcze wypada, iż projektowane jest otwarcie w Pucku średniej półzawodowej szkoły żeglugi. Znaczący zatoki Puckiej, t. zw. morza Kaszubskiego, twierdzą, iż jest to najlepszy teren dla wyćwiczenia wstępnego młodych żeglarzy.

*) Już powstaje.

IV.

Parę uwag wtrącić muszę o gospodarce polskiej na wybrzeżu, nieunormowanych jeszcze stosunkach i o wynikłym stąd zrozumiale nastroju ludności.

Zgóry powiedzieć trzeba, że kierownictwo starostwa w Wejherowie nie odpowiada swojemu na tak ważnej placówce zadaniu. Widzieć się to daje tak w braku inicjatywy twórczej w dziedzinach gospodarczych, jak i w braku kontaktu z życiowymi potrzebami ludności. Ogranicza się jeno do wydawania zarządzeń i zakazów administracyjnych, niezawdy wobec skomplikowanych warunków szczęśliwych.

Ludność wybrzeża, jak zresztą ludność wszelka z pobliza większych miast, zwyczajajona była zawozić towary swoje, głównie ryby, na rynek gdański, a wzamian kupować w mieście sieci, sprzęt rybacki i artykuły domowej potrzeby. — Wyszły zarządzenia, utrudniające tę wymianę. Dobrze. Lecz gdzież jest w powiecie odbiorca, któryby pomógł im zbyć się towaru, gdzie skład, któryby ich zaopatrzył w niezbędne rzeczy?

Słyszałem, że ponoć w Wejherowie ma być stworzony wielki skład sieci i wszelkich przyborów do ło-

wienia, mogący zaopatrzyć całe wybrzeże — lecz dotąd jest to legendą.

Rybacy więc, tak Kaszubi, jak Niemcy, wywożą mimo zakazów towar swój do „Freie Stadt“, walczą statecznie z celnikami obu stron — i narzekają.

Cóż się zresztą dziwić ludziom biednym, jeśli niektórzy tutejsi nabywcy dóbr rycerskich, Polacy, tak samo ze zbożem swem w celach zysku czynią.

A drugim powodem niezachwytu ludności tutejszej z należenia jej do Polski, to stan nasz gospodarczy. Lecz to już jest całego kraju rana.

Wniosek: by rząd pieczołowitością większą otoczył pobrzeże nasze; by ludność, w gruncie dobra, spokojna i pracowita, widząc zrozumienie u góry swych dość określonych potrzeb, poczuła się porówni z gospodarzami tej ziemi i przestała porównywać czas przeszły z terażniejszym na naszą niekorzyść*).

O prywatnej tu, nalotnej gospodarce polskiej, o niedołęstwie spółek kurhauzowych i t. p. dużo dałoby się powiedzieć. Nie warto. Tacy nawet przez krytykę rosną.

Wolę przejść do rzeczy jasnych. A taką jest obóz letni młodzieży akademickiej w Gdyni. Z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Pomorza, a przy wydatnej pomocy wojskowości, stanęły na polach w Gdyni namioty polowe dla studentów i baraki osobne dla dziewcząt, gdzie kilkaset uczącej się z różnych wszechnic polskich młodzieży znalazło wcale wygodne a tanie utrzymanie i możliwość korzystania z darów, jakie morze ciała i duszy

*) Przypuszczam, że od czasu, gdy artykuł ten pisany (1921 r.), wiele się na pobrzeżu na korzyść zmieniło.

przynosi. — Również w Gdyni, na plaży samej nad wodą, rozbiły namioty pod wodzą kierowników swych kolonje dziatwy szkolnej, która tu miała przez ciąg całych dni wszystko wymarzone: kąpiel, słońce, swobodę i pole piasku.

Na tegoletnie wywczasy, a bardziej jeszcze dla poznania polskich wybrzeży Bałtyku zjechało z różnych stron Polski sporo rodzin i osób — za mało, jak na tylomiljonowy naród. Szwajcarzy liczniej w świąteczne dni jeziora swoje odwiedzają. Zapewne odstraszył wielu brak mieszkań, trudność komunikacyjna. Z rodzin, które tu przybyły, jedne znalazły pomieszczenie zawodne w „kurhauzach“, inne w willach prywatnych: w Orłowie, w Gdyni, w Kacku, w Chylonji, w rybackich wsiach: Wsi Wielkiej, w Jastarni, na Helu, a nawet w oddalnej Karwi. Różnym różnie tu było. Lecz wszelkie niedogody i braki chłonęło, a odpłacało tysiąc-krotnie pogodną cierpliwość stuobliczowem pięknem swoim — morze...

V.

Jakże to morze opisać — jak o jego dziwnej urodzie opowiedzieć? Malowaćby je w każdej porze dnia, w każdej godzinie, w każdej chwili, gdy za sprawą cudowną słońca zmienia się jego oblicze.

Patrzę na nie z Orłowa...

Pogodny dzień. Morze spokojne — leniwą falą pieśczośliwie muska piaski wybrzeża. Na całej roztoczy wszere rozchodzą się pola barwne, zachodzą jedne za drugie, tają w świetle odbicia, błękitnieją, jakby wyśnione pola łąki niebios. Na horyzoncie świecą smugi, niby lustra niezmacone słońca.

Nieznaczenie, a niespodzianie pod niezmienną świetłą nieba coś się poczyzna dzieć. Miedze pól barwnych nikną, lustra gasną. Nadleciał powiew z niewiadomych dróg, pogmatwał włośnie promieni. Morze się poczyzna marszczyć. Zielen głębieje — błękit zataja się w fiolecie i po zgurbach wstających fal zbiega na zachyl horyzontu.

A znowu mgliste wstało rano. Morze jest szare, jednotonne z niebem — najlżejsza smuga nie wskazuje granicy wód i powietrza. Z brzegu wkroczyłbyś — zda się — wprost w ramiona popielate nieba. Duszę ogarnia zawód.

A oto prześwieciło przez przesiew mgły słońce. Padło na wodę światło. Naprzód rude. Niewiada, jaki kolor weźmie. Poczyna w rumieńcach, w drganiu wy-czyszczać się, wyzieleniać — i gdy słońce rozmiotło mgły, ukazała się radości ócz roztocz o turkusowej głę-binie przy brzegu, z dalekością błękitnych pól, miedziami światelznaczonych.

W niektóre przedpołudnia śpi jakby, wczasuje się morze. Wtedy jest zajedno z niebem, smugą jeno świa-tlejszą dzielone. To znów gra pod słońce południa naj-wyższemi, srebrnemi tony.

Bywa rozlicznej barwy. Nieraz wynikną na niem pola zielone, o nasyceniu łąk leśnych. Bywa różowe o zachodzie — bywa złote.

I różne sprawia niespodzianki. Uciszy się, ułoży pod wieczór — wykwitną na niem skrzydła żagli, wy-jadą łodzie na połów — gdy z północnych gdzieś roz-bieży przyjdzie podwodna fala...

Awizują ją już znaki, donoszące się z pełnego morza. Grzbiet horyzontu ciemnieje — na dalekiem polu wód wyłyskują się białe punkty. Łodzie w popłochu zawra-cają, zbiegają do brzegu. Zaczem na bliższych, rucho-myh stajach zieleni poczną się ukazywać białe łby, rzekłbyś: psów-pływaków. Od nich rozpoczynają pochód ku brzegowi długie, zczajone fale. Awangarda.

Za chwilę cała oddal pokrywa się białemi grzy-wami — suną uwełnione miedze, bliżej grzywiaste wa-ły — i tarany rozwodnych fal poczynają bić w brzeg, wyskakiwać spienione na piachy. — Rozkołysało się morze — przyjęło oblicze groźne — mimo, iż spokój w powietrzu, znikąd wiatru. Ławą granatu mroczy się

na horyzoncie, a na roztoczy całej przewala się w zgur-
bach głęboką, ciemną zielenią.

Trwa w takim rozburzeniu noc, dzień — aż jed-
nego odwieczora uspokoi się, uciszy, wygładzi i staje
jak zaczarowane przed oczyma. Wierzchnia jego nie-
ruchoma lśni złotawym połyskiem o ogniach zbladłych
opalu — pas tęczy siadł na horyzoncie — ku brzegom
rozchodzą się łąki seledynu. Żagle, srebrzące się na niem,
jak śenne pojawy, odbijają się w spokojnej głębi.

To kilka momentów jeno — a ileż tych przemian
światlnych, ile rozdziałów wciąż odmiennych w nieogran-
niczonym, jak wieczność, niebu i słońcu zaślubionym
żywocie morza. — Gdy burza na nie zajdzie, a wiatr
z deszczem rozmiata światła spłoszone po jego po-
wierzchni, istnieje jak piasek po równi. — Gdy zżagwione
od ogni zachodu obłoki ciężkie zwisną nad niem, a ono
zapali się od nich i długo jeszcze po zachodzie krwa-
wi. — Gdy rankiem wschodzącemu słońcu gra na lut-
niach fal, a ognistą drogą żalu żegna zachodzące. —
Albo nocą miesięczną, gdy poświatą oblane spoczywa,
a nad nie wyniesie się księżyc, na wieży srebrnej oparty,
niby morska latarnia niebios...

Wiecznie przemienne.

Zatraca się w niem człowiek — staje się cały za-
dumą. Oko się poi — myśl odpoczywa. Dni całe, mie-
siące można z niem samojednie w szczęsnem obcowaniu
żyć, jak z ukochaną duszą. Aby je poznać, umiłować,
długo uczyć się go trzeba. Wówczas da ukojenie, jak
wszystko, co z wieczności.

W porównaniu np. z morzem Adrjatyckiem Bałtyk
niewiele traci. Różnym jest, jak różne jest słońce i nie-

bo południa, które Adrjatyk odbija. Nie posiada więc o takim natężeniu i czystości błękitu — nie widuje się też na nim w pochmurne dni tego stężałego przelewu ołowiu, jaki czynią fale Adrjatyku. Północnem jest jego życie, smętniejszem, lecz nie o wiele mniejszej gamie. Otocz żywych wybrzeży wiele mu przydaje.

A mówione tu było jeno o życiu morza naszego w zatoce, którą zamyka od północy półwysep Hel.

VI.

Hel — z wybrzeży południa widuje się ledwoznaczoną smugą. Czasem, przy pewnem oświetleniu wyznacza się wyraźniej — a niekiedy zataja się w barwach morza, niknie i zdaje się legendą.

Półwysep Hel wyłania się z ładu między Puckiem a Karwią i ciągnie się w kierunku południowo-wschodnim na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów. Szerszy u nasady, zwęża się w połowie nieomal do wału, by się znów w łąpę u końca rozszerzyć. Rozmieściły się na nim, dość oddalne od siebie, rybackie wsi kaszubskie: Swarzewo, Wielka Wieś, Chałupy, Kusfeld, Jastarnia, Bór i osada Hel na cyplu, od której cały półwysep wziął nazwę.

Cały półwysep od Wielkiej Wsi, a przynajmniej od Chałup, gdzie się poczynają lasy sosnowe, ma wszelkie warunki, by się stać letniskiem kąpielowem o wielkiej sławie.

A już warunki te rosną w najwyższe zalety na samym cyplu, na Helu. — Na przestrzeni kilku kilometrów rozciąga się naturalny park sosnowy, o suchem podłożu piasku, o niezmierzonej podścieli różowego

wrzosu. Idzie się alejami, przebiegającymi w nieskończoność park, wśród różowych uśmiechów ziemi, jak w marzeniu. Wokół ku niebu wynoszą się sosny. Takich wielmożnych sosen nie spotyka się nigdzie. Olbrzymie, wieloramienne, w przedziwne kształty pogięte, o szerokich zwieńczeniach czapiastych, o podniebnych koronach, gniazdach zielonych w błękicie.

A potem — plaża. Wychodzi się ku niej z parku lasu którymkolwiek piaszczystym wylotem alei. Ciągnie się bowiem wokół cypla na przestrzeni mil.

Plaża ta równać się może z największemi w Europie. Szerokości kilkudziesięciometrowej i więcej, bez najmniejszego nalotu zaśmiecienia, z wypłókanego miału granitu powstała, ławami piachu czystego schodząca wprost w morze...

A morze — morze pełne, przeczystemi ramionami fal w objęcia swoje kuszące.

Wymarzone to miejsce dla niesłychanej wagi uzdrowiska.

Na południowej stronie cyplu, opodal wieży Latarni mieści się kurhauz nieduży i kilka will nad brzegiem. Dalej nad portem rybackim osada Hel. Duża i schludna wieś, równemi rzędami domów po obu stronach szerokiej ulicy rozłożona. Domki z okiennicami i łamaniami w okiennice drzwiami, jednostylowe. — Dziwny, swoisty wyraz ma osada. Dziwni też ludzie. Nibyto Niemcy — lecz inny typ. Powiadają, że to Holendrzy, piraci, tu ongiś osiedleni. I że nazwa osady (Hel) brzmiała właściwie Höl (jaskinia, schowek zbójcki). Nie wiem, ile w tem prawdy. Upozornia jednak to podanie wygląd mieszkańców. Kobiety ociężałe,

grube, jak Holenderki; mężczyźni czarni, rośli, o groźnym, orlem pojrzeniu — istni potomkowie piratów. W porcie siadują z fajeczkami rybacy starzy — prawdziwe wilki morskie.

Ku północy las rzednieje — wydźwigują się wydmy i wzgórza piaszczyste, które dla ochrony przed wiatrami obsadzono skarłałą sośniną, podobną w rozłożu swem do kosodrzewiny. Przywodzi też na pamięć ta pustka wydm wyniosłych tatrzańskie pustacie. A pogłębia ją jeszcze donoszący się w przestankach z północnego cypla daleki, przesmutny jęk (to odzywa się tak gwizdek pływający, mający oznaczać zmianą tonu kierunek wiatru, a nocą ostrzegać żeglarzy; w gwarze kaszubskiej: pława). Jakby dusza tonąca wołała bezowocnie w tej pustce ratunku.

Mową półwyspu Hel — to cisza. Cisza pod koronami sosen — na polankach różowych — na pustce wydm. I wieczności przelew naokół — szum morza.

To też myśl protestuje przeciw wspomnianej, budującej się kolei. *) Kolej ta wychodzi z Pucka i biegnie wzdłuż całego półwyspu — przez wsi kaszubskie — przez wąski, dwustometrowy pas — przez długie lasy sosnowe, aż do Helu. Psuje piękno, rozbija ciszę półwyspu.

Kolej tę pomyślano dla strategicznych celów, kiedy Gdańsk utrudniał w czasie ostatniej wojny z Sowiecami dowóz amunicji dla Polski. Rozumiem, że strategiczne cele będą niestety jeszcze długo nad innymi celami panować — lecz może tu już na półwyspie przestały

*) Już od paru lat funkcjonuje.

być aktualne, może z utrwaleniem współżycia z Gdańskiem upadną — a wtedy kolej tę należy czem prędszej wykupić i na jej torze umieścić kolej elektryczną. Ta dla potrzeb półwyspu zupełnie wystarczy, a ukojnemu jego pięknu i charakterowi jego uzdrowiskowemu hukiem i dymem nie zaprzeczy.

VII.

Bałtyk, z cudem warunków Helu, z otoczą lesistych wybrzeży, z bogactwem plaż, winien zwrócić na siebie pilną uwagę społeczeństwa, wszystkich instytucyj, którym wzmożenie sił narodu leży na sercu, jako właśnie potężnik cudotwórczy zdrowia, żywioł odrodzcy dla ciała i ducha.

Nad jego uzdrowczą tonią, na brzegach południa, w przestronnych sosnowych lasach Helu powinny powstać sanatorja dla dzieci, zagęścić się — już nie ko czujące, jak w Gdyni tego lata — obozy młodzieży, powinny stanąć kolonje nauczycielskie, wille dla wypoczynku inteligencji pracującej, tej prawdziwej soli ziemi, a która traktowana jest w dzisiejszych czasach wzmożonego chamstwa jak otłoka dla bydła.

Następnie, Bałtyk jako rozdawca wiecznie odrodzkiego piękna, jakie tylko ziemia i woda przy sprawie niebios tworzyć mogą, powinien ściągać pielgrzymki artystów z całej Rzeczypospolitej do swoich turkusowych stóp. Malarze, którzy szukali pejzażu pod „niebem włoskiem“, znajdą tu pejzaż nieuboższy, raczej bardziej rumieńcem życia natężony. Urwiste, to lesiste, bardzo kolorowe brzegi — morze, wiecznie przemien-

ne — przy każdej natęży światła — radosny pochód obrazów. A my tych brzegów nie znamy. Nie mamy nawet zdjęć fotograficznych z przebogatego naszego wybrzeża.

Zaroić się tu winno od artystów naszych wszelkiego działu. Jeśli przeciętnemu zjadaczowi chleba morze dużo korzyści dać może — to cóż dopiero jednostce twórczej, o czulszej płycie ducha! — Winien też stanąć na wybrzeżu Helu dom odpoczynkowy dla polskich artystów, którzyby tu w otoczy spokoju morza spotężnić mogli swoje twórcze siły albo, wojną zgaszone, odrodzić. Zadania tego powinnyby się wespół podjąć towarzystwa i związki artystów.

Na zaopuszczone dziś, brzegi Bałtyku winien wkroczyć z planami twórczymi kapitał polski. Winien wkroczyć z rozmachem, a jąć się dzieła umiejętnie i pieczołowicie. Zadaniem jego: udostępnienie, a potem zabudowanie południowych brzegów i Helu. Winien to uczynić tak, aby nie popsuć natury. Tu przykładem ujemnym może być Sopot.

Hel największą baczność kapitału winien zwrócić na siebie. Ma wszystkie dane nato, aby stać się już w bliskiej przyszłości Rivierą polską.

.

Lecz Bałtyk, to morze nasze, nietylko jest wychowcą uzdrowisk i dawcą piękna. Jest oknem na świat! Bramą Polski ku mocy, by stać się równą mogła narodom wielkim.

Wagi tej morza społeczeństwo nasze w znacznej większości nie docenia.

„Istnieją jeszcze koła i zakątki kraju“, — mówi generał Roja, twórca Towarzystwa „Bałtyk“ — „gdzie należałoby ludziom powiedzieć, że Pan Bóg, prócz ziemi i powietrza, także morze stworzył; że narody żyją nie tylko ziemią i powietrzem, ale i trzecim żywiołem Bożym, jakim jest morze. — Przyczyny upadku Polski dopatrują się słusznie w niedocenianiu i usunięciu nas od morza. Polska, bez odpowiedniego dostępu do morza, bez własnego portu — musi chromać“.

A ksiądz biskup Bandurski poucza :

„Niedość unosić się nad doniosłością dziejowej chwili, jakiej dożyło pokolenie nasze, niedość zwracać wzrok tam, gdzie żołnierz polski, wsparty na karabinie, spogląda na morską toń i staje się symbolem potęgi, która obaliła krzyżacką przemoc, ale trzeba taką moc i potęgę ducha okazać, by nowe Polsce zbudować drogi, któreby ją z całym łączyły światem“.

„Polski korytarz do morza“ — pisze prof. Bujak — „musi się przemienić w skrzydło gmachu polskiego, jeżeli ten gmach ma być naprawdę silny i trwały. Polska myśl polityczna nie obłąka się, a praca polska nie rozproszy po bezdrożach tylko wtedy, gdy się oprą i obracać będą jak na zawiasie, na ujściu Wisły do Gdańska. Polska potrafi prowadzić politykę lądową tylko wtedy, jeżeli się zdobędzie na silną własną politykę morską, jeżeli się potężnie oprze o Bałtyk“.

„*Dominium maris Baltici*, to dziś hasło wszystkich“ — powiada w zapale pięknym ks. Czaplewski, b. prezes Towarzystwa Naukowego w Toruniu. — „To wołanie także nas wiernych Pomorzan. Od dziejowego zarania stanowiło ono główną sprężynę aktywizmu pół-

nocnych i wschodnich narodów Europy i, jak dotąd, tak też nadal będzie ono dziejowym barometrem ich rozwoju i szczęścia“.

Do słów tych mężów cóż dodać mogę? Chyba tylko jeszcze raz podkreślić wagę nieocenioną Bałtyku. Pragnąłbym, aby stał się źrenicą polskiej uwagi, dumą narodu i ukochaniem.

Dwa posiadamy skarby — dwa bieguny naszej mocy — dwa oparcia — dwa piękna:

Tatry — Bałtyk.

Słupy strzeliste południa — brama otwarta północy. Skrzydła ku niebu — skrzela dla oddechu.

W myśli łączę ich piękno wysokie — łączę je tęczę nad rozdłużem Polski — sercem wiązę.

Orłowo, w sierpniu 1921.

TREŚĆ:

	Str.
Z PODHALA	5
I. Werbunek na Podhalu	7
II. Sobótki	17
III. Warta	22
IV. O pielgrzymce do Rzymu	26
V. Wspomnienia Witkiewicza	32
VI. Zakopane dawniej a dziś	38
VII. Górale, lachy i cepry	44
VIII. Witkiewicz i budarze	49
IX. Zakopane na zwrotnicy	55
X. O dwóch muzeach w Zakopanem	62
XI. Zakopanie dzisiejsi	72
XII. Śmierć Daniela	79
XIII. Wieś Tetmajerów	83
XIV. O Stanisławie Witkiewiczu	88
XV. O Tetmajerowie „Skalnem Podhalu“	98
Z NAD BAŁTYKU	101

wzrost 23/VI 93

